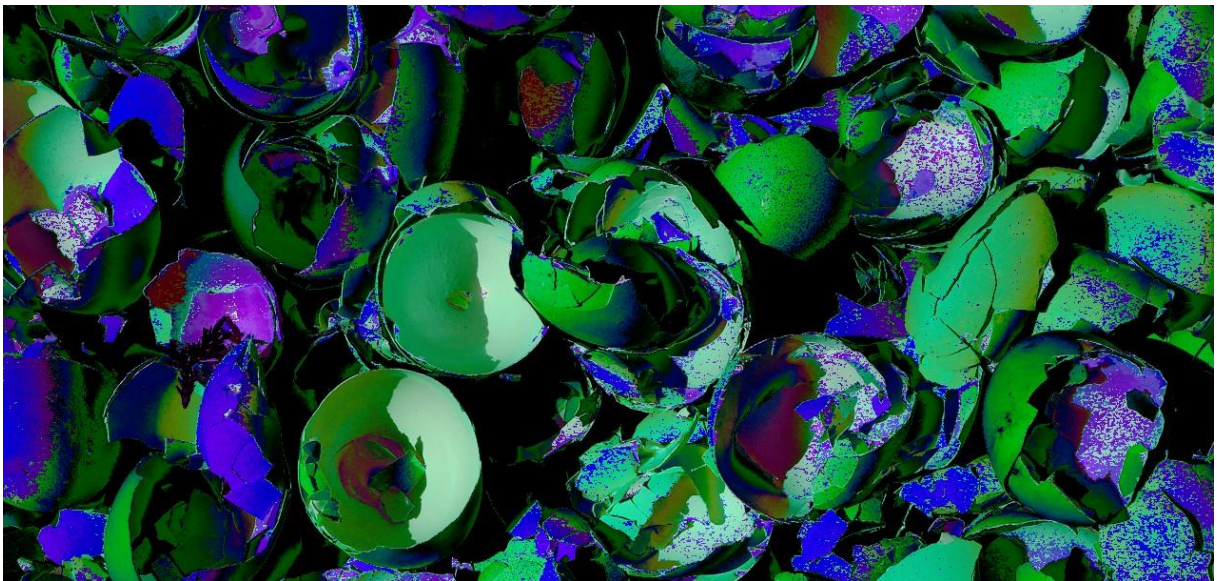


Marcin z Frysztaka

i

**Wytwórnia
grzechu**



05. #9 Słowo wstępne.

I tak się zbiera, nie dodaje. Krainę otwiera, jej rozstaje. Krainę tworzenia, wiecznego dążenia. W wynikach lenia, jego spoufalenia. I te zaszczości, co ograniczają. I przemierzenia, co skrzydeł dodają. W jednej wymiernej, kompozycji. W takiej zwiewnej, tutaj tradycji. I to tworzenie, co Ci dodaje. I odrobienie, co się przestaje. Z wynikiem słodkim, i procentami. Odrobienie sprawne, z dalszymi księżycami. I tak wręcz można, i trzeba zadać. Chwila wciąż trwożna, i wynik badań. Tak tu dostojnie, i z kolorytem. Walory wciąż zbrojne, moim zachwytem. I te strapienia, co chwili dodają. I te przeniesienia, jak się zadają. W formach ułożenia, i wymogi sporne. Wartości i stany, obligacje dostojne. I tak się zwiewa, dalej udaje. Kontrola graniczna, i jej rozstaje. Myśl specyficzna, i dalsze jej skutki. Obligacje procentują, bez dodatku wódki. I te wymogi, co oraz po co. Jak życia rozłogi, chwilami się złocą. Jak ważne powody, komu jak dodają. I to całe tworzenie, na końcu zostają. Można więc powoli, a można z rozpędu. Co kto w zasadzie woli, chwile luźnego pędu. W jednym założeniu, i chwil pomnożeniu. W jednej konstytucji, wiadomej ablucji. Oby do konkretów, i jedyne słowa. Kategoria budżetów, i melodia gotowa. Nigdy więcej kretów, po tej naszej stronie. Strzał, to z pistoletów, znowu drugi tonie. I te wiarygodne, skutki pogłębiane. I te tak wciąż szkodne, mandaty nadane. Jak te noce chłodne, co zdają wybierać. Możliwości pogodne, nie potrafią doskwierać. Wybierz więc taką, i żyj się sukcesem. Pogłęb swoje czucie, nie przepadniesz z kretelem. Stwórz coś pięknego, niech po Tobie zostanie. Nie koniecznie ozdobnego, albo wywieś pranie. No i zaimki, co złorzeczą bokami. Jak wiadome kalinki, co tworzą między wyrazami. I te tutaj dziewczynki, co powiedzą i po co. Jaki to tekst sporny, ludzie się kłopotczą. A wątpliwość uznana, i tu pokazana. A zdradliwość wyprana, dobrze naciągana. W jednej głowie pomysły, i wiadomość spora. Nie udawaj, domysły, toniesz w samych pozorach. Po co znak, i strapienie. Jakie przyłożenie. Po co to odnowienie, i zostaje niechęć. Jakie to zależności, książką tą rządzą. W imie wspaniałości, drugi raz nie zabłądzą. No i to zdawanie. Co jest i po co. Całe odkrywanie, może i nawet nocą. W jednym tym zdarzeniu, i przyszłym położeniu. W całym tym mniemaniu, okolicznym poznawaniu. Jak w kategorii ustępów, i wiadomych zakrętów. Jak w wiadomym zadaniu, termin, i w przekładaniu. Słów mętlik i spółka, oby przynajmniej dwa kółka. Jak w wytworze kretelem, i jest rysunek biznesu. I tak zostaje na stałe, tworzenie to doskonałe. I tak poznaje zwyczajem, walczenie, co daje chwałę. I tak będzie pospołu, dalej już poskładane. Zapraszam tu do stołu, zostało podane. Jakie są wątpliwości, i liczone ilości. Jakie dalsze zdarzenia, wybrane zależności. Kogo chcesz do tworzenia, i postuchać warto. Elementy przyłożenia, kamieniem podparto. I te stany agonii, wariacji i zarzewia. I ten wybrany, w atrakcji, styl największego drzewa. Jak się utożsamić, i stworzyć postacie. Jak siebie nie zganić, chyba się domyślacie. W tym natłoku legenda, i przedłożone wnioski. Wszystko na chwil spędach, okoliczne pogłoski. Jak wybiera się dane, i czy zostanie pokonane. Jak uznaje wybrane, będzie dokonane. Oby słowo i czyny, zawsze w zgodzie żyły. Oby nie bez przyczyny, bo inaczej się biły. I te wszystkie radości, tak w kupie naskładane. W ramach porządności, będzie dobrze uznane. I te dalsze kontrakty, komu i w jakim celu. Jak stare artefakty, nie umiesz to nie rób. Ale nauczyć się można, nie jest to nowina. Okolica pobożna, jak wiadoma kpina. I te kontraty, zasłaniają szczyty. I te monolity, walą że będzie bity. Jak w zachwycie coś stworzyć, i spać się z tym położyć. Jak w przekwicie przysporzyć, i okulary nałożyć. Można i sprawnie, będzie podglądane. Tak poprawnie, trzeba ostrzec panie.

Tak zabaw mnie, i dalsze piedestały. Odporności i pozostaniesz mały. Oby nie, odwrotność więc skutku. Oby brak, i zażyłość, chłód tu. Taki znak, i wiadoma perspektywa. Taka gra, i wybrana już krzywa. Do zdobienia, albo wytłoczenia. To wybrania, dalszego tworzenia. Jaki zgraj, i zagajnik wybrany. Który kraj, i będziesz ociosany. No więc tłoczno, i zasady świrują. Tak poboczno, i drogą oszukują. A Ty tworzysz, pokazujesz siebie. Poznajesz, nie czekasz aż pogrzebie. No więc spójność i wybór drogowskazów. Tak wciąż czujność, i ordynacja zakazów. Na podwójną, nie ma co jednak stawiać. Wyjątkowość, ją wszak trzeba pomnażać. I to co z wyjątku tego wynika. I jak zegar, który cały czas tyka. Twórz, niech powstaje coś z niczego. Obraz duszy, nie uwolnisz się od tego. Jak raz zaczniesz, nie przestaniesz. Jak już poznasz, to dokonanie. Jak rozpoznasz, staniesz się częścią. Tego stworzonego, jak zwierz z sierścią. Tak nieodłącznego, fragmentu całości. Tak pięknego, bez dozy litości. Wszystko jest tutaj, pozwól że zacznę. Potem Ty, nie myśli pokraczne.

Marak S. Wilke

S(TWÓR)

I jak twór
Tak zostawiony

Wielki stwór
I jego żony

Jedna zawodzi
Druga odchodzi

A s(twór) mówi na to
Nie szkodzi

Wytwórnia grzechu

Nowy dzień, i przyłożenie. Sasza znowu ma życzenie. Żeby stek był wypieczony. Żeby zobaczyć cycki żony. I tak dalej chwile można. I najdalej to te trwożne. W ramach ciągłych dobrobytów. Kategorii i zachwyków. Dalej zbija się mniemanie. Masz odwrotne przekonanie. I ten rosół już ostygł. I te na sztorc wciąż wbite widły. Ważne, że mu się powodzi. Wątpliwości w tej powodzi. Ważne, że zastane było. Hieroglify, i ta miłość. Tylko jaka, naklejona. Tu, w tych znakach, naznaczona. I przejrzystość, co się darzy. Wiekuistość tych cmentarzy. A nasz Sasza, w rączki kole. Wiadomości, to przedszkole. Znowu dzieci, te hałasy. Może lepsze będą wczasy. Ale teraz znak ten szkodzi. Nic mu dzisiaj nie wychodzi. Dzieci marudzą, wariaty cucą. Wyniki się nimi tu nie pobrudzą. No i skłonności, co dalej trzeba. Z przyzwoitości, jest i potrzeba. Z należytości, i wariat słodki. Nie trzeba było słuchać idiotki. I te wariacje, cokolwiek słone. I te narracje, i moje dłonie. W wynikach komplet, i przeznaczenie. W unikach słowo, będzie brodenie. No i tak dobrze, mówi ospale. Teraz na pogrzeb, tu grzebią stale. No i do firmy, przypilnować tego. Żeby nie było w papierach nic złego. Wszystko się musi zgadzać przecież. Nie podnajmiesz, przeczytasz gazetę. Nie wynajmiesz, okolicy szkoda. I kolejnego kręconego loda. Tak się tu zbiera, nogami przebiera. Tak odnajduje, kategoria premiera. I ciągle łapie, dalej stosuje. Sasza już tutaj dobrze kombinuje. Południe, więc trzeba wychylić ćwiartkę. Tak to jest ciągle, jak Bonaparte. Lubi do wielkich się porównywać. Wtedy może się tu odnajdywać. No i te ciężce, już sekretarka zaszła. Materiał przeciężeń, i lampka od silnika zgasta. Kto ich tak pcha, do tego rozmnażania. Metoda, ćma, i wylewanie szampana. No ale dobrze i przykrości w tłumie. Było i będzie, milion w rozumie. Saszy narzędzie, i przekonywanie. Kolejna ćwiartka, na trzecie śniadanie. No i zespoły tych dalszych urojeń. No i pospoły, tych wszystkich zawaleń. Myśli, że mu się żona puszcza. Przecież mądra jest, jak ta kapusta. Na pewno sobie jakiegoś gacha wymodziła. Może listonosza, z nim się kiedyś woziła. Podwiózł ją na siłownię czy coś. Pilates, a taki uprzejmy gość. Ale do tego nie trzeba matury. Wystarczą te z telewizji bzdury. Wszędzie tylko golizna i zdrady. Może to jakieś polityczne układy. I tak się streszcza, dalej poluje. Po swojemu podkreśla, i lepiej się czuje. Znowu namiesza, już jest na mieście. Dobra restauracja, kolejna setka nareszcie. No i zespoły, tych dalszych urojeń. No i mozoły, pozostałych zbrojeń. W jednej mecyi tak wszystko zebrane. W porządnej knajpie, częstują szampanem. Kto to wymyślił, setka do szampana. A może się ziścił, i nie śpi do rana. A może wydoroślał, przecież to nie prędko. Chwile radości, i na korytarzu miętka. Przecież trzeba dopilnować, czy wszystko gra. Przecież trzeba dostosować, dziewczyna jak ćma. Widać gruby portfel, no to się przykleja. No i na rozruch, się nie onieśmiela. No i te spójne, wyniki zdrady. I te podwójne, sprawdzone roszady. Było pospólnie, zostało mnogo. Hieroglify, rysowane nogą. I tak się sprawdza, prawda nieżywa. Że się rozsadza, za młodu drzewa. Że się przesadza, z dużym szacunkiem. Że doprowadza, czasem za późno z ratunkiem. Sasza nie ma zamiaru nikogo ratować. On woli po swojemu, tutaj prorokować. On woli, ku dobremu, jak to nazywa. Pytanie tylko w jakim celu to dobre przyzywa. No i zmienności, co narzekają. I te przyjemności, na wierzch wypływają. W sprawnej kipieli, ale oni nie chcieli. Teraz sauna, skąd oni ją tu wzięli. No i widoczność, tych dalszych efektów. Ta krótkowzroczność, i wypatrywanie insektów.

Zaborcze myśli, i głody idei. Wywrotowe sprawy, może się jeszcze skleić. I te zaczynania, o ból głowy przyprawiają. I te własne zdania, ciągle tu się narzucają. W sprawnej jedynce, jak w drugiej dziewczynce. Kolejny dzień, chwile pojedyncze. I te mozoły, narzucać coś trzeba. Powrót do firmy, o co tutaj biega. Jakiś wypadek, chłopu palce urwało. Teraz nie będzie się już tak po cichu skradało. Może dobrze, wyrok Boży. Może zborze, na palce przyłoży. Ale ubaw, i wyniki kontraktów. Historie spraw, i dalszych podatków. Co za diabeł te podatki wynalazł. Kto oszczędził, namierzył, i zaraz. Jakiś audyt, albo inne pierestrojki. Jakiś bubel, i wymagające korki. Co ich nie ma, na stanie brakuje. Co odpowiada, i jak rokuje. Odmienność zbieżna i atrybuty. Chwila rozbieżna, rozwiązane buty. I te zależne, chwile poczynań. I te tak prężne, melodie naginań. Ile dobrobytu tu jeszcze zostało. Ile tych przekwitów, mnie to zawsze mało. Sasza powtarza i się denerwuje. Melodię stwarza, i nią się przejmuje. W wartościach swoich, nie widzi nadziei. Chyba, że na zysk, jak drzewa ją piełi. I tak się odnosi, dalej przekonuje. Może coś przekąsi, lustracja ujmuje. Jakaś degradacja się może szykuje. Ktoś chce podwyżki, no to go zbastuje. I ta rekrutacja, szczury nic nie umią. I ta abnegacja, chmury to zrozumią. W tym natłoku drogim, i ciasne przyłożenie. W natarciu tak mnogim, kiepskie pocieszenie. Ale jest i będzie, dalsze przykładanie. Jak na stawie łabędzie, kolejne zadanie. Może skrzydłem pomachać, może o chleb poprosić. Nie ma co przesadzać, trzeba kasę rodzić. I tak marzenie, o urlopie ciągle. I to spoufalenie, dalej nie uciągnę. Jak ten dzień zakończyć właściwie. Ciekawe czy żona się puszcza. Zadzwoń, jęklawie. Oczywiście, nie odbiera. Pewnie jedzie, konesera. Znaczków i pieczętek pocztowych. Karierowicz, z tych gotowych. Dobra, dom, i dalej jedzie. Po pijaku, tak na przedzie. Komendant to jego dobry znajomy. Tak to już jest, wiarygodne tony. I jeszcze ten przetarg, ale to wieczorem. Teraz jest niefart, korek jednym torem. No i godzina, gdzieś uciekła ospale. Kolejna mina, Sasza zna je doskonale. W domu już dzieci, przez żonę odebrane. Przedszkole, szkoła, i jest przeglądanie. Narzekanie jak to źle na świecie. Wyszły nowe buty, widziały w internecie. No i słuchanie, tylko pokrętnych bredni. No i zbieranie, jaki dzień powszedni. Dokazywanie. Do czego prowadzi. Sprawnych spraw nazwanie, jemu nie wychodzi. No i kamienica jakaś do sprzedania była. Dostał sms. No, odpowiedź, chwila. Tylko ludzi trzeba wyrzucić zawczasu. Plebs, niech idą nad rzekę do lasu. Kolejne ustalenia, będzie spółka sprawna. Kolega po fachu, alkoholik z dawna. I metody, takiego przesiedlenia sprawnego. Przez rząd ładnie nazywanego. I te metody, wykwiłne kolacje. I te powody, dalej w głowie wakacje. Żona bez humoru, znowu tu narzeka. Szkoda jej słuchać, listonosza podnieta. I te dobrobyty, pieniądze je dają. I te tu zachwyty, jedną wielką fają. Jak to nazwać mnogo, i do czego doprowadzić. Jak zrozumieć drogo, żeby nie zawadzić. I ten zegarek, godzinę pokazuje. Najwyższa pora, teleturniej, chórem. A później akcja, z ustaleniami. Znaczą jedzie, przetarg, między kolegami. To ustalić trzeba warunki po nocy. Byle wyrobić się tu do północy. I zrozumieć, kolejną okazję. Jest i flaszeczka, cygaro, fantazje. I te dalsze, tutaj przedobrzenia. Okazalsze, tak jak tłok coś zmienia. Przemądrzalsze, i wyniki obchodów. Sprawy marne, kategorie zwodów. No to się rości, i dalej rozumie. Wyniki gości, nie znajdziesz ich w tłumie. W ramach radości, i zbiorczej inwencji. Brak tu wartości, i plenipotencji. No i dobrze, jest ten morał stary. Nadobrze, są i te morały. Chwile bez konfliktów i pieniędzy płodzenia. Nie żyją długo, mają tak od urodzenia. No to się streszcza, i dalej podkreśla. No to znów planuje i ludzi oszukuje. W jakiej to melodii, i przemierzeniu stałym. W osobnej kategorii, i chwili, doskonałym. Tworze, co się tutaj odnajduje. Wytworze, co sam siebie oszukuje. W pozorze, co dalej wątpliwości donosi. Przeboże, co o wyniki koligacji prosi. No to element, i dalsza sukienka.

Kolegi żona, i jego ręka. No i sprawne, zastanianie skutków. Byłoby dobrze, a jest w ramach skutków. No więc znaczenie, i jego autorytet. Takie przeinaczenie, dawno już zbyte. W wyniku sukienek, i poderwanych obcasów. W kategorii wspomnień, i powycinanych lasów. Ale dobrze, tak dalej uznane. Jak na biodrze, love wypisane. I te sprawy, co za daleko zaszły. I te powroty, co wieczorną porą zgasły. Ale trudno, to i wrócić trzeba. Ale nudno, brak zapachu chleba. Jedzie, dom, i przytulenie. Moja droga żono, ona foch, niechcenie. Ale rękę po pieniądze wyciąga. Na kosmetyczkę, fryzjer, w tych przeciągach. Daje zaliczkę, reszta z bankomatu. Masz możliwość, nadzieję, i stertę niepotrzebnych gratów. Ale dobrze, i dalej się unosi. W tym wytłoku, drugi raz o rękę jej nie poprosi. W zdartym szoku, i wątlność, przenosi się lędźwiami. Komi ile, i wszystko między nami. Tak na chwile, i dalej poproszone. To za chwilę, rachunki opłacone. I klika, szuka Sasza, wakacji dotkliwych. Się nie pomnaża, w metodach przebytych. Egipt już był. Grecja też odpada. Tam to była zabawa, no i ta, zwada. Hiszpania za tanio, historie sprawdzone. Byki, i corrida, chwile uchwycone. Ale nie, chce czegoś odpowiedniego. Takiego całkiem nietypowego. Więc szuka, i przegląda ospale. Kolejne oferty stuka, już nie widzi doskonale. Wszędzie coś, co mu nie pasuje. Zacny gość, zacnych opcji poszukuje. Aż nagle widzi, coś całkiem dziwnego. Na pierwszy rzut oka, totalnie odmiennego. Wytwórnia grzechu, oferta last minute. Pora uśmiechu, myśli mgłą zasnute. O co w tym chodzi. Odłot, wcale nie szkodzi. Już jutro. 21 dni. Chyba to to, albo mi się śni. Nie może się nadziwić Sasza. Tego jeszcze nie było, no to dobra nasza. W sumie żadna nasza, żony nie zabieram. Niech kurze z listonosza tutaj dalej ściera. Polecę sam, i zwiedzę Wytwórnę. Poznam ludzi, i ich sprawy durne. Może przeniosę coś na grunt firmowy. Albo jakiś dobry pomysł przyjdzie mi do głowy. I tak kołuje, dalej się stosuje. I tak próbuje, w myślach już bukuje. No i płaci, drukuje bilet. Już się wzbogacił, teraz pora na chleb. I szybko, po walizę sięga. Pakowanie, wylot rano, to przysięga. Żona zbudzona, co to za hałasy. A Sasza mówi, lecę se na wczasy. Ty tu zostaniesz, i wszystko ogarniesz. Mój drogi Panie, chyba z tronu spadniesz. I kłótnia, wroga, dlaczego nie zabrana. Żona, tylko wyprawa taka sama. I dzieci aferę tą usłyszały. Możliwość, karierę, już dawno zabukowały. Ale z ojcem nie polecą. Nie ma więcej miejsc. To było jedyne, a zresztą pał sześc. No i założenia, tak bardzo wytarte. Te przeinaczenia, odpowiednio zdarte. I spoufalenia, do kogo należą. Chwila dla brodzenia, i już do mnie mierzą. Tak to jest, na polowaniu. Taki test, materiał w wyznaniu. I się rości, mieni, przewiduje. W smaku zazdrości, dobrze się oszukuje. Sasza zna te wszystkie motywy. Dalsza gra, i odgarnione dziwy. Melodia ta, pieniędzy ile potrzeba. Dolary, euro, byleby starczyło na chlebak. No i monity, tak odmienne w skutku. Lekko nadgnity, warto czynić chłód tu. Cały emocją syty, chwila na przespanie. I jest, dzień znakomity, słońca oglądanie. Sasza myśli o tym co mu się śniło. Kawa, papieros, tego jeszcze nie było. W śnie Syzyf, tak do niego przemawiał. I do nałożenia opatrunku z magnolii namawiał. Ale nie, gdzie on, Sasza go nie słuchał. No to stało się, i się nie udobruchał. Rana najpierw mała, pół ręki zajęła. Cholera. Albo coś innego, w faktach ciało wzięta. I tak kończy się, żywot utracony. A Syzyf pokazuje, rachunek zrobiony. Ostatnim tchnieniem pieniądze podaje. Syzyf wraca do roboty, Sasza z życiem się rozstaje. I oto budzi się oniemiały. Teraz myśli, dzień doskonały. Tylko te senne pierdoły stracenie. Będzie chwilowe to uniesienie. Taksówka, lotnisko i odprawa paszportowa. W okienku nie wiedzą nic o Wytwórni, kategoria to dla nich nowa. Ale przepuszczają Saszę, wygląd ma taki. Że ciężko się sprzeciwić, wariat toć wszelaki. No i boarding, czy jak to nazywają. W każdym razie do samolotu już wpuszczają. Samolot przeźroczysty, tego jeszcze nie było. Widać tylko krople wody, jak już coś się od niego odbiło.

No i pasażer, jedyny w samolocie. No i zależność, w niemałym kłopotcie. O co w tej wycieczce chodzi. Do czego to prowadzi, czemu to dowodzi. Ale trudno. I jest chwila odlotu. Cierpliwość nie lubi osobnych kłopotów. Jest start, i samolotu całkowite zniknięcie. O co w tym chodzi, kto tu ma to wzięcie. Wytwórnia grzechu, o co w tym chodzi. Sasza się zastanawia, co na myśl przychodzi. Chwila znikania i przestrzeni pokonania. I jest. Na miejscu. Efekt lądowania. Wychodzi, ktoś go prowadzi do bramy. I mówi, piękny to dzień na grzech dokonany. Jestem Sigmund. Freud mnie też przezywają. Oprowadzę Cię po Wytwórni. Bo tu czasem popalić dają. Pokażę, o co w inwestycji tej chodzi. To boczna piekła, ale to nie szkodzi. Nie jest to częścią przybytku diabelskiego. Ale wiele dziedziczy od niego. Czy masz jakieś pytania. Sigmund się zamyślił. Sasza oniemiały. Piekło? Czy to wyśnić? Ale nie, Sigmund go uspokaja. I stawkę dniową po swojemu podwaja. Wszystko kosztuje, przyjemności to drogie. Wiedza, może stać się nałogiem. Wiele tu zobaczysz, wiele dni tu stracisz. Czy wyjdą na dobre. Może się ubogacisz. Może zrozumiesz, świata troszeczkę. Może podniesiesz na ziemi poprzeczkę. Jak to się skończy, ciężko wyrokować. A może list gończy, i trzeba się będzie schować. Jakie zadanie, Sasza, pytania. Jakie mniemania, Sigmund odpowiadania. I tak trwa dialog dwóch jegomości. O co w tych chodzi, jak się bawią dorośli. Ale wytwórnia i jej tajemnice. Ale zależności, i dalsze prawice. Jaka będzie to spowiedź, a może pytanie. Czy gotowa odpowiedź, czy wykute przekonanie. I tak otwiera się powoli brama. Brama Wytwórni, już nie sama. Jest gość, i Sigmund, trochę podstarzały. Zobaczą, czego nie widziały jeszcze ludzkie gały. A może przesadzam, i to sprawy znane. A może się zdradzam, i możliwości dograne. Ale wycieczkę wybrał Sasza wyjątkową. Jednym listeczkiem, sprawę wiecznie nową. No i dobrze, zobaczymy jak zareaguje. No i pięknie, póki co, średnio się czuje. Troche oniemiały, troche ogłupiały. Jest ten czas, i wyrok doskonały. Wytwórnia grzechu, a ja już znikam. Sigmund mówi, że tu nie ma prawnika. Powtarza też coś, historyczne fakty. Kiedy powstała, kto założył te wszystkie kontrakty. I mniemania, co dalej chwilami rządzą. Przekonania, które stają się żądzą. Wyjednania, i schyłki błogostanów. Odgradzania, i puste skórki od bananów. Sasza niewiele rozumie z tej mowy. Ale skutkuje, i już łapie się drugiej połowy. Pyta, kiedy alkohol będzie podawany. I czy będzie wódeczka, czy okoliczne szampany. Sigmund odpowiada, że nic tu nie ma takiego. Ale jest wiedza, i mądrość do tego. Ale jest sadza, i osmolone kominy. Wiele grzechów, dla Ciebie i rodziny. No to próbujemy, te miejscowe bzdety. No to oddychniemy, i szukamy podniety. W sprawnym tym zadaniu, i dalszym przekonaniu. W dobrobycie i fakcie, oznajmionym kontakcie. Jest miejsce, i jego przeznaczenie. Jest człowiek i jedno skinienie. Co dalej, jakie jego losy. Jak lepiej i podliczone głosy. Się okaże, i na wierzch wypłynie. Tak przekaże, a może szkopuł w dziewczynie. Ale póki co panien nie widać. W ogóle jakaś mgła tu. Zaduch. Żeby się nie wydać. No ale dobrze, poczekamy, zobaczymy. Sasza już wie, dziwne ta narodziny. Nowego miejsca, przynajmniej dla niego. Wielkie oczekiwania, ale trzeba się przyzwyczaić do tego. Sigmund mówi, no to już pora. Oto Fabryka grzechu, i moja, oprowadzającego dola.

Ogrodzenie 1

Wytwórnia działa jak fabryka, opowiada Sigmund. Nic jej nie dotyka. Nic jej nie ujmuje. Każdy ją tu szanuje. Są laboratoria, i testy na ludziach. Jest logika, w kobiecych podudziach. I start, ten wyżarty stosunek. I fart, jak wczorajszy podarunek. Fabryka działa i ma się dobrze. Może by chciała, kolejny pogrzeb. Ale to nie krematorium, dalej się wywodzi. W dobrym tonie i guście, człowieka wynagrodzi. Ale po co to wszystko, pyta Saszy sumienie. Bo widzisz mrowisko, potrzebne jest jego istnienie. Mówi Sigmund i idą długim korytarzem. Ciemnym, że aż oczy smażę. I co dalej, jakieś ogrodzenie. I jest przeskok. Klasyczne przekroczenie. I spokój. Jakby nic nie było. Protokół, jakiś się wypełniło. I wchodzi na sale, ludzie w maskach. Pracują nad grzechem. Dopracowują, w trzaskach. Tu się tworzy cudzołóstwo. Nie przystoi, to oszustwo, mówi Sigmund. Pokazuje. Ciekawe jak cudzołożnik rokuje. I są ludzie, poza badaczami. Sasza pyta, kto to, między nami. To są ludzie testowani, nowe odmiany grzechu, cudzołożnik szlifowany. I tak właśnie to się odbywa. Najpierw w laboratorium się nową odmianę odkrywa. Później testy na ludziach szybkie, efekty uboczne, notowanie znikłe. Żeby mieć ogląd człowieka sumienia. Jak się zachowuje po wstrzyknięciu cienia. Jak tu optuje, i do czego prowadzi. Sasza na to: ale cudzołóstwo przecież nikogo nie zdradzi. Mylisz się mój drogi przyjacielu, jesteś jak oni, jeden z wielu. Sigmund ciągnie, nie przestaje. Seks na boku staje się zwyczajem. To niszczy człowieka, jego psychikę. Nie mówiąc o duszy, staje się unikiem. To upośledza szczęście, a nie je daje. I człowiek się z katastrofą nigdy nie rozstaje. Sasza na to, że to słabe rady. Że mówi tak, by doprowadzić do zwady. A świat jest inny, bardziej zepsuty. Ważne, żeby zmieniać co jakiś czas buty. No to zobacz, mówi Sigmund. Trzeba skrobać, wymiar stóp. Masz co chciałeś, aby móc. Spróbowałaś, szklanekę stłuc. Ale popatrz na tych biedaków. Czy są szczęśliwi, to nie Kraków. Bardziej lękliwi, i kwestia sporna. Tak spolegliwi, rana dostojna. Króliki doświadczalne, co dzień grzech przyjmują. A co będzie dalej, i jak się dostosują. Popatrz na tego tutaj jegomościa. Po dziesięciu dniach, nie jest już w gościach. Sumienie powoli wykańcza człowieka. Nie według woli, na nic już nie czeka. A ten tutaj, facet, 20 dni od podania. Już ledwo się na nogach ślania. I ta kobieta, taki przypadek, nowa podnieta, lesbijski zadek. Zaledwie 5 dni wystarczyło. I popatrz co z kobietą podanie zrobiło. Tak to jest, z grzechami ciała. Uciechami, jest ich bez mała. Wszystkie tutaj zostały stworzone. W tej Wytwórni, tutaj sklezione. Przez tych chemików, i dyrektorów. Nie jest to tylko sprawa pozorów. Są grzechy lżejsze i te mocniejsze. Atrakcje dla człowieka konieczniejsze. Wszystko po to by być upewnionym. Że zadziała, nie z drugiej strony. Że organizm nie będzie z tym walczył. I mechanizm, że wracasz na tarczy. No więc się składa, i dalej odzęgkuje. Sasza coś nie najlepiej się czuje. Podchodzą jednak do długiego stołu. Było z siadaniem trochę mozołu. Sigmund mówi, to darmowa próbka. Skosztuj, wchodzi to jak wódka. No to bierze, łycalek grzechu nowego. Równość zbrojeń, i aż wymiotuje od tego. Co to było, pyta Sasza. Żeby nie było, to młodych pasza. Już weszło na rynek w podstawowej formie. Ta jest poszerzona, i wymyka się normie. To znaczy, że granic i płotów już nie ma. Nie ważne, jaka medialna ściema. Że każde zbrojenie to wyzwolenie. Pokazanie palcem i się uwolnienie. Ja to ja, więc mogę korzystać. Po to mam ciało, i muszę przystać. Tak to działa, mocny narkotyk. Ale szkoda ciała. Wiadome kłopoty. Psychika długo na tym nie pociągnie. Tak to już jest, że po nogach ciągnie. Taki to test, i zjadliwość sroga. Jak dalszy kontekst, i wiadoma droga. A nie ma czegoś lżejszego,

pyta Sasza. Popatrz na tego ujętego, Sigmund wygłasza. On tylko żonę codziennie zdradza. Z własną ręką, jak kwiatki przesadza. Jest udręką, niby taka błażostka. Czystą męką, sprzedają to w kioskach. A tu wersja rozszerzona, z pornogrą, spoufaloną. No więc dalej, iść już trzeba. Pierwszy dzień, odpoczynku potrzeba. Chwila na przemyślenia i odłożenia. Nie ma tu taryfy ulgowej dla lenia. Ale gdybyś wątpił kiedyś, gdybyś zaznał takiej biedy. Przypomnij sobie te fabryczne gmachy. I te wszystkie na człowieka zamachy. Tyle dzisiaj, więcej nie trzeba. Prześpij się, to odpowiednia cięba potrzeba. Zjedz coś potem, pogadamy, a teraz już się, czasowo, żegnamy.

Wiersz psa przybłądy

Seks to tani jest przypadek
Nie odgonisz się od zagadek

Nie przegonisz tego uzależnienia
Przetestowane, jest atest cienia

Ogrodzenie 2

A co ma wspólnego Wytwórnia grzechu z piekłem, pyta Sasza. Sigmund z uśmiechem cicho ogłasza. Piekło z wytwórną ściśle współpracuje. Piekło w Wytwórni grzechy dopracuje. Czyli, mówi Sasza, jest to taka piekielna gra. Coś w tym rodzaju, Sigmund dobrze się ma. Ale dlaczego ci ludzie nie protestują. Ci testowani, dlaczego się nie buntują. A dlaczego Ty ciągle grzechy popełniasz, taka człowieka natura, wolę piekła spełniasz. Wszystko jest tu dopracowane, człowiek dobrze poznany. Jego słabości, struktura, i możliwe do wykonania rany. Wszystko jest tutaj, w fabryce badane. W Wytwórni grzechu, śmiało wymyślane. No to dobra, idziemy, mówi Sasza. A Sigmund pokazuje na ogrodzenie, i zapytanie zgłasza. Czy wiesz dlaczego ma inny kolor niż poprzednie. Sasza myśli, ale wcześniej zblednie. Przekroczenie, i droga otwarta. Sprzeniewierzenie, materia obdarta. I podobnie, jak było na pierwszej sali. Tak i tutaj, laboratorium, i testerzy doskonali. Tym razem rodzaje zdrad tutaj wymyślają. Tym razem, na bacności się bardzo mają. Bo zdrada wielkie wyrządzić szkody może. Raz przedawkowana, i nic już nie pomoże. No to jest, kolejny minerał. I ten test, kto na kogo spozierał. Sigmund pokazuje palcem na mapę. To już jest wtłoczone. Czerwone kropki, papier. A tu popatrz, w samym rogu sali. Są specjaliści, w fachu doskonali. I dopracowują zdradę własnych ideałów. Siebie samego, jakby mało było w życiu banałów. Tu na środku, patenty nowe tworzą. Zdrada przyjaciela, i wyniki mnożą. I muszę powiedzieć, że zdrada jest Boga. Ale to już najpotworniejsza w życiu niezgoda. Z własną duszą, i posunięciami. Jest katuszą, tak między zdradami. No ale, mówi Sasza, ci ludzie testowani. Czy lubią być tak wiecznie zdradzie poddani. Na to Sigmund, zdrada kusi korzyścią. Choć niemiła jak jesień liściom. Zdrada wymienia wciąż korki, i rozsuwa rozporki. Są różne kategorie, i różne zdarzenia. Nowe tu patenty, zdrada nawet cienia. Ale jak można zło zdradzić i o co w tym chodzi. Pozornie niemożliwe, ale się takie coś rodzi. Jak zdradziłeś najpierw Boga a później szatana. Jesteś po środku, do nikogo się nie

uśmiechasz z rana. Gdy masz w poważaniu cały ten świat. Nienawidzisz dobra i zła, dopatrujesz się wad. Gdy odwracasz się od wszystkiego co stworzone. Zdrada idealna, mówi Sasza. Nie, już lepiej zostaw swą żonę. Nie ma gorszego upadku człowieka. Gdy ani Bóg, ani szatan na Ciebie nie czeka. To zawsze kończy się upodleniem w piekle. Bez grama szacunku, i to boli wściekle. No dobra, a teraz stół, i grzechu próbowanie. Darmowa próbka, chciałbym poznać Twoje zdanie. Taka obróbka, i stosowanie związane. Będzie bolała główka, ale tak jest wszędzie. No to siup, mówi Sasza. Krzywi się, nie jest to pierwsza klasa. Co ja właśnie spróbowałem? To zdrada pokoju. No to się doczekałem. Ale że co, ale mi się chce walczyć. Z kimkolwiek. Jeden może starczy. Albo nie, daj mi trzech, chyżo ich pokonam. Sigmund go uspokaja, zaraz ze śmiechu skonom. I takie przepychanki jeszcze przez chwilę trwają. I takie namacanki, może się Saszy przydadają. Ale prześmiesznie wygląda taki nabuzowany. Chce podboju świata, to ci Pan nad Pany. Dostał rozcieńczenie, jakieś dziwne sole. Teraz, tu po chwili, mówi, pokój wolę. Sole działają i uspokajają. Ale nie każdy je ma. Choć mocno się przydadają. No i dobrze, widziałeś już wiele. Drugi dzień, i zdradliwi przyjaciele. Drugie ogrodzenie, i sprawy zawite. Widzisz, nie jest łatwo zanim zobaczysz mogiłę. I tak sprawnie, drobny poczęstunek. I powabnie, zastanowienia rachunek. Jak to się dzieje, że nikt ich nie zamknie. Niby przyjaciele, a się kończy w wapnie. Sasza analizuje, te zdrady przechwałki. Co się dzieje, kiedy stajesz do walki. Co się tworzy i jak na człowieka wpływa. Jak się mnoży, i dlaczego od tego się nie rzyga. No ale dobra, kolejny rachunek. Noc ta trwożna, jak ten poczęstunek. Ale mi się wakacje udały. Dziwnie tu, myślałem, że same banały. A oni naprawdę, nad grzechami modzą. A oni poważnie nie przejmują się pogodą. Sami trendy wyznaczają, sami ludzi zarażają. Kto to widział, żadnego usprawiedliwienia nie mają. No ale co, trzeba przywyknąć. To samo zło, czasem mam ochotę zniknąć. Ale zobaczę, co tu jeszcze kombinują. Może naznaczę, i lepiej się poczują. Albo odwrotnie, i kiepskie będą stopnie. Albo krytyka, i Sasza znika. Zobaczymy, co dzień przyniesie, bo ten dzisiejszy, to głowa w sedesie.

Wiersz psa przybłądy

Zdradzić można ogrodzenie
I pobożna, me życzenie

Zdrada co się oniemiała
Bo w sobotę się myć nie chciała

Ogrodzenie 3

W tym napadzie i rozpadzie. Jest jak to zazwyczaj w stadzie. I w poziomej orientacji. Wije się ten koniec wakacji. Ale jeszcze nie strącone. Ale jeszcze nie stracone. Sasza mówi, tak zmaćcone. Te obrazy przedobrzane. I kolejny dzień zaczyna. I Sigmunda znów zaczyna. Zagaduje, wypytuje. Sigmund mówi, nie próżnuje. I to zdatne przekroczenie. Przez to wielkie ogrodzenie. Jakie ważne tu kolory. Ten czerwony, jak opory. I jest sala w tym nałogu. I jest zimno, siła lodu. Sigmund sprawnie oprowadza. Laboratoria i ta sadza. O co w sali tej tu chodzi.

Jest pytanie, się rozwodzi. Sigmund mówi spowolnienie, będzie tutaj złorzeczenie. I tak fakty, te strącenia. I kontakty, sfery cienia. I znajome te przedrostki. Tak tu hodowane troski. I się zdaje, już roznosi. Sasza o historię prosi. I wiadomy tu minerał. Opozycja się przedziera. Są metody złorzeczenia. Przekazane dla istnienia. I sposoby, dalsze skutki. Te powody, i litr wódki. Jak to można się zachować. Jak odpowiedź, i się schować. W piekło zamieniać własne życie. Nawet tu nie uwierzycie. Są sposoby, i kontrakty. Są nagrody no i takty. W złorzeczeniu chwila sroga. Ten to się nie boi Boga. Bo złorzeczy, materiał zbiorczy. Stany cieczy, laboratorium łączą. W tej wszechrzeczy, i straceniu. W pewnym tu skutecznieniu. I się zdaje, i nadaje. Te testowe wielkie paje. Pootwierane od przekwitwu. Złorzeczące w imię zgrzytu. Jak to dalej doprowadzi. Gdzie człowieka to zawadzi. I te skutki, przedobrzane. Sasza się zamyka tonem. I ten Sigmund opowiada. Jak człowieka to dopada. Jak zostaje w pustej głowie. Ale później resztę powie. No a teraz skosztowanie. Darmowa próbka i jej działanie. Sasza kosztuje, i nie wie co rzec. Wszystko źle, nie dość mu hec. Każdy głupek tu otwarty. Każdy nos dawno obdarty. I te spory i te głody. Wszechobecne tu rozwody. Lecz dostaje odtrutkę szybko. Co zostało, może wytną. I się stara, tak zawodzi. Złorzeczenie jeszcze głodzi. No więc dalej przemówienie. To ten Sigmund, i istnienie. To ten wymóg, okoliczności. Zdatne życie, bez litości. Czy na pewno, jak się chmurzy. Długie schody, wiarę burzy. Wielkie stopnie, poskładane. Tak pochopnie, łyk z szampanem. I się mości, tak wtóruje. I zazdrości, oszukuje. Że Ci ludzie testowani, są złorzeczeniem tak obdarowani. Przecież fajnie ponarzekać. Przecież nie ma na co czekać. Zło w tym słowie ma swą siłę. Nie ma tak, że wszystko miłe. Więc złorzeczy jeszcze Sasza. Pozycjonuje, jaka pasza. Porównuje i donosi. O kolejną próbkę prosi. Ale przychodzi otrzeźwienie. Zła zobaczenie, i zrozumienie. Ale przychodzą sprawne stany. I materiał ten zbadany. No więc dalej, te nałogi. Grzech, tak człowiekowi drogi. No i sprawniej, opisane. Będzie tu dostosowane. Sasza więcej nie próbuje. Tylko siebie odnajduje. Sigmund mówi zadowolony, że plan cały wypełniony. Zobaczyli kolejną salę, złorzeczenie na wielką skalę. I różne jego tutaj atuty. Jak deszcz pada, brudne buty. No więc dalej, przekazania. Te odrębne tu zadanie. I wytwory, w spornym sosie. I pozory, w tym bigosie. Tak się strąca, i próbuje. Już wytrąca, oszukuje. W tym natłoku i energii. W zdartym szoku i hysterii. Koniec dnia, Sasza szczęśliwy. Choć był Sigmund dość kąśliwy. Choć ostrzegał, wymachiwał. Coś nie wiedział, albo się zgrywał. Ale miłe te wakacje. Grzechy, i te różne nacje. Nie zależnie od koloru skóry, grzech działa tak samo, człowiecze natury. I zostaje, w krwi ten cały. I nadaje, efekt nabrzmiały. Się sprzedaje, i wytwarza. W tej fabryce, sen aptekarza. Aby tutaj wciąż pracować. W brudnych butach, głowę schować. Dla pozycji, opozycji. I mniemania koalicji. No więc spornie, pozostanie. Złorzeczenie, słowne branie. No więc opór, i przeźrocza. Nie świeć tak chłopie po oczach. Mówi Sasza, i się chowa. Kolejny dzień, i nowa podkova. Kolejny sen, czy to prawdziwe. Wytwórnia grzechu, słowa kąśliwe.

Wiersz psa przybłądy

I się spełnia przyrzeczenie
I nadmienia, się nie zmienia

Takie jest to złorzeczenie
To Twych wspomnień, przeniesienie

Ogrodzenie 4

Czwarty dzień w Wytwórni grzechu, jest ogrodzenie, i ten przechód. Jest sprzymierzenie i dobroćliwosci. Są wymiary i rozmiar ości. Jest to skrzętne notowanie. Sasza i jego wakacyjne doznanie. Sigmund, który oprowadza. Strona, która się nie zdradza. I już są na piedestale. I już powtarzają stale. Jak przeskoczyć płot ten piękny. Ogrodzenie, permanentny. No i spółka, przedawnienie. To odmienne złorzeczenie. Naprzemienne w jednym szyku. Lepiej spotkać się w uniku. Ale płot ten przekraczają. Co lepszego do roboty mają. No i Sigmund opowiada. Oto kolejna sala, i rosza. Laboratorium z tymi próbami. Wszystko z tymi złymi myślami. Złe myśli tu patentowane. Tak dokładnie dopracowane. Na różne tematy i w rozciągłościach. Ludzie to szmaty, i w innych przykrościach. Do niczego się już nie nadają. Albo, z życiem się tu w końcu rozstają. Są różne, i tutaj badane. Na tych biedakach, fakty wykazane. Sasza przygląda się wszystkiemu dokładnie. I pyta, a co jeśli jakaś zła myśl mi na nogę spadnie. Sigmund stoi chwilę zakłopotany. I mówi, lepiej nie. Nie są to dobre stany. Lepiej źle stanąć, niż źle myśleć. Nie ma gorzej niż bałagan w umyśle. I tak zastanawiają się nad konsekwencjami. I tak zajmują się litościami. Nad ludźmi tutaj testowanymi. Zawróćmy, wolę już chyba być schowany. Mówi Sasza i pokazuje. Ktoś chyba umiera, zła myśl króluje. No ale zostali, i dalej zwiedzali. Sasza rozumie, że zła myśl spali. Ale dostaje, próbkę kontrolną. Darmową, oddolną. Przeprowową, co pokazuje znaczenia. Złe myśli, efekt upokorzenia. I się kręci, spać nie może. Wstać także, o każdej porze. Złe myśli umysłem zawładnęły. I naszego Saszę zgięły. Jak daleko, do czego prowadzi. Jak to mleko, dlaczego tak wadzi. I strumień, który płynie w górę rzeki. I rzeka która łamie strumienia fleki. Jest jak być, powinno i się stało. Sasza poznał, choć mu ciągle mało. Złe myśli bowiem lubią towarzystwo. Kolejnych i następnych, takie nieboże igrzysko. I się strąca, samo pozostaje. I wytrąca, kontraktów nadaje. I przetrąca, okoliczność słaba. Blżej końca i mania, parada. Sigmund mówi, że to straszna śmierć. Za życia, nie dostajesz ćwierć. Radości, i sensu tutaj ukrytego. Całości, w zgiełku, płachtą nakrytego. Komu zdanie, i jaki minerał. Jakie zadanie i kto z kim zadzierał. Sigmund przestrzega, wiele już doznałeś. I swoje w głowie dzisiaj oglądałeś. Ale wystarczy, to antidotum. Ale już starczy, gotowy protokół. Złe myśli wyniszczają niczym rak. Możesz iść prosto a idziesz wspan. I te tradycje, które się mnożą. I amunicję, tutaj wytworzą. Sprawnie tu wszystko dzień, noc pracuje. Takie igrzysko, nikogo nie oszukują. Sigmund zaprasza też do muzeum. Osobnej ścianki, trofea i szczerup. W tym otoczeniu, i spoufaleniu. Ofiary złych myśli, w pełnym spaczeniu. Źle się na to patrzy, mówi Sasza. Nie wiedzą, że po dwa- trzy, coś ich nastrasza. To tu opracowane sprawne metody. Sigmund dodaje, takie piekła lody. Niby smaczne, i przy każdej kolędzie. Tak pokraczne, rozpoznasz je wszędzie. Ale wyniszczają, i żyć nie dają. Ale z rzeczywistością nić tą zrywają. Jedyną sensowną, co wiadomość trzyma. Tak życia wciąż głodną. Złe myśli przyczyna. Jak w noc taką chłodną, trzeba się opatulić. W wariacji wygodną, nie ma co za dużo wybulić. Bo to te złe myśli są najbardziej kosztowne. Elitarne, upadku sumienia głodne. Bo to te złe myśli wyniszczają, i kłamią. Lepiej już z dobrymi, chociaż czasem Cię zganią. I tak kończy się czwarty dzień zwiedzania. Jak list gończy, i okoliczność dobrego prania. Jak w opończy, i sprawy dalej wysnute. Dziwne to wakacje, bo są lodem skute.

Wiersz psa przybłądy

Urok, gracia, sprawowanie
Na wakacjach, odraczenie

A złe myśli się dopominają
Natrzeć się kremem, nie zapominają

Ogrodzenie 5

W tym wypadku, otworzeniu. Wielkim spadku i mnożeniu. To wakacji przeglądanie. Masz tu pewnie swoje zdanie. Ale odpych i frustracja. Ale zakon i lustracja. Gdzie się mieścić, jak rokować. Gdzie się przed wynikiem schować. I te dalsze tu schowania. Termin znany z przekraczania. Termin prany z przetworzenia. Masz minima, skojarzenia. I tu Sasza staje wrogi. Pewnie liczy swoje nałogi. I go w drzwiach ten Sigmund widzi. Nie analizuje, co robi, przewidzi. I niemiła pogaduszka. O tym jak Sasza spadł z łóżka. Mówi też jaki w nocy miał sen. Sigmund myśli, siebie zmień. A sen tyczył się przygody. Polowania, no i kłody. Polowania na siebie samego. Obrywania, to nic dobrego. I na końcu serce przebite. Po wielkiej walce, oko wybite. Nie w tej przechwałce, ale w przerażeniu. Sigmund przyjmuje tę spowiedź w milczeniu. A teraz pora na zwiedzanie. I idą, kolejne wytwórni odkrywanie. I szydzą, już humor Saszy lepszy. W końcu wakacje, a nie zjazd wieprzy. No to jest przeskok przez ogrodzenie. Zielonkawę, jak idei płodzenie. Na wyprawę, i przechodzenie mostem. Zdają sprawę, i chwile radosne. Dopóki laboratorium nie zobaczyli. Tego fabrycznego, i się nie zakisili. Tego złowieszczonego, co grzechy produkuje. A przynajmniej ich powstanie wywołuje. Tutaj zajmują się skrajnościami. Tworzą je, tak między nami. Skrajności są tu różnego rodzaju. Bezmyślności dla każdego kraju. I tak to się z kontroli wymyka. I tak bokiem, gdzieniegdzie przemyka. Mówią, że to jak wirus który się wydostaje. Trzeba się kontrolować, a nie chodzić krajem. I są tu skrajności wydumanej miłości. Czyli jak wiadomo, nienawistne złości. I są tu skrajności z pieniądzem związane. Wielkie potrzeby, tak rozdmuchane. I różne, wszelkie. Także te podrabiane. Pewne hybrydy, co powstają poza planem. Jak na przykład skrajność tej wiedzy. Zdobywania w pełnej niewiedzy. Różne motłochy, i ten potencjał. Śmierdzi jak szczochy, ktoś fabrykę napędza. Sasza pyta, ale co w tym złego. Skrajność, jestem przyzwyczajony do tego. Na to Sigmund pokazuje na testowanych ludzi. I mówi, popatrz, żaden z nich też nie marudzi. Ale są już bliscy śmierci. Śmierci duszy, zły się wierci. Śmierci uśmiechu, i jeden w bezdechu. Śmierci w rozstaju, wymarzonej gaju. Nic z życia tak naprawdę nie mają. Tylko się temu życiu przyglądają. I nie rozumieją. Że można inaczej. Skrajność ich napędza, w ferworze dwuznaczeń. Skrajność im pozwala trzymać oczy otwarte. Ale żyć iluzją. Aluzją podparte. No i te morały, co zanoszą się bokami. No i te banały, co odbierają stronicami. Wartość i źródło, tak rozpoznane. Chwile, motywy, i kości nadane. No i jest, darmowa degustacja. No i test, podważona Saszy racja. To kosztuje, i w całości próbuje. Skrajnego przetrenowania. Umysł nie wytrzymuje. Duch się skręca, Saszę wykręca. Ten się nakręca, temperaturę podkręca. I sam prosi, o ratunek. Nie smakuje ten darmowy poczęstunek. No to wybawia go Sigmund lekami. Taka to sprawa, tak między nami. Taka odpowiedź, i sprzeniewierzenie. Ta dalsza spowiedź, fabryki zwiedzenie.

Ale jest pomysł na odprężenie. Sklepik firmowy, pamiątki, żalenie. W ramach odnowy, i fikcje totalne. Są tu magnesy, i ryty naskalne. Sasza kupuje, skrajną nowinę. Płaci za nią niejedną kpinę. I robi sobie pamiątkowe zdjęcie. Nie ma jak skrajności tutaj wzięcie. Warto podziwiać, jak się jej nie ma. Warto wydziwiać, jak jedna ściema. Ale natarcie, i przeciążenie. To dalsze podarcie, no i brodzenie. Jak się to kończy, dzień sprawiedliwy. Czy sam dokończy, materiał ckliwy. W ramach opończy, i pogłębiania. Wyrok się skończy, koniec gdakania. Sigmund opowiada na pożegnanie. Historię, czy można powiedzieć, skaranie. Że był tu kiedyś pewien anglik. I chciał oddać własny szpik. Za receptę, na uwolnienie. Za wydobyte, bo zna brodzenie. I skrajność go ostateczna przywiodła. Brak wyjścia, no i chwila chłodna. Skrajnością chciał skrajności wyleczyć. Życiem swoim tu zaprzeczyć. Ale nie ma tego dobrego. Tylko zrozumienie, i co do czego. Droga środka, stara legenda. Prawdziwa, jak pająka przędza. I na końcu Sigmund dodaje. Mądrość, to brak skrajności. Tak mi się wydaje. I się rozstali, i pogadali. W drodze powrotnej, sen też poznali. W drodze zawrotnej. To rozstawanie. To najmniej przyjemne z dnia wykonanie.

Wiersz psa przybłądy

Wino, wartość, stronicami
Przytyk Boży nie zna granic

Skrajność swoje wykonuje
Przytyk się jej przypatruje

Ogrodzenie 6

W tym wypadku, i nagraniu. Na przypadku, poszukaniu. Odpór, sprawny jest minerał. Kto tu sobie kolana zdierał. I te sprawne konwenanse. Niepoprawne, dyliżansem. I odpychy sprawa droga. Będzie wymoszczona droga. Stój nad słoje, i napoje. Chwila dalej, i te zdroje. Napić wody się z takiego. To podobno jest nic złego. Sasza jeszcze nie próbował. Nie dogadywał, przed Sigmundem się chował. Chciał mu żart pewien pokazać. Ale zmienił zdanie, i wolał rozkazać. Stare przyzwyczajenia, tak wychodzą. Należytość nie zawsze płodzą. I te spłaszczenia, komu dywagacje. W końcu są to Saszy wakacje. Więc ponarzekał na pogodę. I na tą pod prysznicem ochłodę. Nie ma ciepłej, o co chodzi. Sigmund na myśl mu przywodzi. Ciężkie czasy, jak to było. Niby mądry, a zemściło. Bieda strasznie, podwojenie. Takie skrajne spoufalenie. No ale bór, i ochota cała. Na poznawanie, co fabryka dała. Na odtrącanie, i grzechów zbieranie. Jak tych karteczek, wszystko jest tu w planie. I te mozoły, co się roszczą. I te wiarygodne, historie goszczą. W wynik uderza, i historia zwierza. Wynik podwaja i się nim upaja. Idą już razem, Sigmund z Saszą. Widzą płot, papierosy gaszą. Ale ten jest jakiś dziwny, wyższy i grubszy, aż przedziwny. Poprzednie jakoś spokojnie stały. A ten niespokojny jest tutaj cały. Problem był z przekroczeniem. Ale udało się, jednym istnieniem. No i dobrze, konglomerat cały. No i wygodnie, plan doskonały. Szerzy się skwer i dalsze zawały. Pozostał szmer, i tumult ten cały. I już na hali, wielkiej straconej. Oglądają wytwór, mocy naznaczonej. Sigmund powoli historię opowiada. A Saszy aż czapka z głowy spada. To hala w której

produkuje się maski. Wyrobnictwo to ma szczególne łaski. W piekle w sposób doceniają. I na badania masek większe pieniądze dają. Na tworzenie, i kolejnych masek mnożenie. Na zatracenie, i w człowieka jawne uderzenie. Noszenie masek jest grzechem okrutnym. Niewiele osób to wie, w przekonaniu swym butnym. Że są sobą, a tak naprawdę żywią się niezgodą. Żyją za maskami, popisują się przed tobą. Tak to jest z łaskami, nie każdy wykorzystuje. Nie to co z maskami, dobre się poszukuje. I tak tutaj kuje się je w ogniu. Jest i piec, odlewy, wszystko to w tygodniu. Jeden tydzień, jedna maska, z innego materiału. Jeden miesiąc, wieczność trzaska, z wymyślonego banału. I tak mija tu, to co minąć się nie da. I tak skrada się, i nie pyta o pajdę chleba. Saszy najbardziej spodobał się piec, ogień bucha. Chciałbym taki mieć w domu, niezła zawierucha. I Ci biedacy, Sigmund pokazuje. Na krańcu hali, wyniki działania masek się odnajduje. Każdy ma inną maskę nałożoną. Każdy moc, niewinną, na stałe przyłożoną. Sasza pyta, a co się z nimi dzieje, jak już eksperymenty się skończą. Co z tymi ludźmi, a może maski ich wykończą. Sigmund na to spokojnie, oni i tak są straceni. To dzieci cienia, w ciemności pogrążeni. A później, na przemiał i mączkę dla psów, będzie. Tak to jest w każdym dziale, tak wytwórnia przędzie. No więc słowo, i przekazanie. Ciągłe na nowo, i nowe zdanie. Sasza się uczy, życia zakrytego. Sigmund go pouczy. Sprzymierzenie dobrego. A teraz test, darmowa próbka, mówi Sigmund, wkręcona żarówka. Katalog wrót i wielkie otwieranie. Pudełko cnót, choć Sigmund inne ma zdanie. Sasza otwiera i maskę nakłada. To maska współczucia, interesem włada. I przeżywa, to co przeżyć szkoda. I nagrywa, chwile te w rozwodach. Postanowił nagrać filmik z wydarzenia. No i teraz ma, powód upodlenia. Nie wytrzymał długo, w tej parzącej masce. Zaczął się dusić, chyba zaraz wrzasnę. Sigmund próbował ją ściągnąć na siłę. Ale trzeba mieć kluczyk, inne, szkoda chwile. Ale materiał pouczył, i wymagał wiele. Udało się, uwolniony, jak to jest w Kościele. No i zależności, co się dobierają. I te porządności, badać się nie dają. W jednej mnogości, wymierzenie spore. Odchył dwulicowości, można nazwać zaborem. Sasza zadaje kolejne pytania. Dlaczego noszenia masek się nie zabrania. Jak często twarz człowieka maska zasłania. I inne, takie Saszy wymagania. Sigmund cierpliwie pytania znosi. Odpowiada jak może, głosu nie podnosi. Wystraszył się tylko, gdy Sasza zażartował. Że jedną z tych masek, do kieszeni sobie schował. Nie wynosimy, pierwsza zasada. Bo źle się to kończy, jedna wielka zwada. I te morały, które przychodzą. I te hejnały, co masek nie grodzą. Tylko przed nimi ostrzegają. Tylko powtarzają że z naturalnością się witają. I tak do osłody, ostatnia historia. Dzień z drinkiem, chwili monotonia. I w tym przydziale spójna nowina. Są przemyślenia, i Saszy kpina. Chociaż nie było mu dzisiaj do śmiechu. Drink odkopał pokłady uśmiechu.

Wiersz psa przybłądy

Wiara słowna, odnowienie
Takie płaskie to spolszczenie

W masce konik paraduje
Na jego grzbiecie cholera tańczy

Ogrodzenie 7

W tej epickiej wręcz podróży. Czas w ogóle się nie dłuży. Tylko chwyty i przechwałki. Dobrobyty w imię stałki. I się streszcza, tak pojmuje. I podwiesza, oszukuje. W zręcznym toku i rozkroku. W z dawna wyczekany młok. I się zbiera, tak dociera. I najmuje, ponieważ. Schody ciężkie, pozazdrościć. Można dobrze się wymościć. I te zgiełki, dalsza sprawa. Jak serdelki, jest zabawa. Sasza na basenie się magluje. Basen sztuczny, oszukuję. I te sprawy, co przydają. Dla zabawy, się rozstają. I te zmyry, faktów trzeba. I roztwory, w imię nieba. Można dalej, i ponętniej, jak te żale, proszę piękniej. Jak ja stale, wynajmować. Odrobinę, jednak schować. No i dobrze, te poznanie. Tak wygodne rokowania. I przechyty, dalej można. Sprawa jest to bardzo trwożna. Jest spotkanie, Sasza patrzy. Pojednanie, Pan, wybac mi. Popychanie, dla zabawy. Okoliczne to ubawy. No i Sigmund rozwścieczony. Dla zabawy, jego tony. On zabawy nie przyjmuje. Choć luźno z zabawą tańcuje. I tak dalej, ogrodzenie. Mają sprawne, przekroczenie. I ta ściana, z napisami. Wydrapanymi, tak znakami. Ale mijają, i wchodzą dalej. Jest ten tunel, i rozstaje. Bez latarki się raczej nie da. Ważne, że Sasza sobie schlebia. I jest wejście, ciemny punkt. Jest ta sala, twardy grunt. I znajome okolice. Laboratoryjne szpice. A tam zdjęcia przeglądają. I tak do nich zachęcają. I filmiki, i zdarzenia. Patent na próżnego lenia. I tak dalej to w zwyczaj. I rozstaje, w dalszym gaju. I te słowa, Sasza zdziwiony. Jaka próżność, zabobony. Ale faktem jest niestety. Te wszystkie małe podniety. Te wszystkie dalsze zdarzenia. No i powód do oclenia. Oglądają, no i twórczość. Wymieniają, obrazoburczość. Doceniają, co stworzone. Sigmund opisuj żonę. Sasza jednak tutaj milczy. Choć apetyt ma dziś wilczy. Na trochę próżności, chętnie spróbuje. Jak się z nią tu odnajduje. U źródła, gdzie stworzona. Na półteczkach ułożona. Odmienna, jakie znaczenie. Pokazanie, docenienie. I plakaty są w sklepiku. I znak daty, w notatniku. I zdarzenia, które burzą. Okoliczne fakty służą. Przynajmniej Saszy tutaj. Bo chodzi w za drogich butach. Bo wozi się jak król świata. A jest rodzajem wariata. Sigmund tylko pokazuje. Dziś humor ma kiepski, nie dowodzi. Ale fachowo wyjaśnia powody. Całkiem sprawnie, jak skok do wody. Kiedy wody w kranie brakuje. Kiedy jeden drugiego oszukuje. W jakim spełnieniu i cała przeciagłość. Tak w spoufaleniu, mała niedociągłość. I się zamienia, pozycjami. I tak dokręca, tymi śrubami. Poznawanie próżności od kuchni. A na końcu tylko, chuchnij. Ale ten moment, wyczekiwany. Jak paluszki słone, i te szampany. Chwila wtłoczenia darmowej próbki. Dla przeistoczenia, jak butelka wódki. I Sasza próbuje łydkami. I zakrzuszył się wynikami. Ale zadowolony, banan na twarzy jest. Sigmund ostrzega, że to pewnego rodzaju test. I te wyniki, Sasza przedobrzony. I te uniki, materiał słony. Skosztował próżności w dużym stężeniu. Dla porządności, dziura w istnieniu. Mówi, że rozwodniona lepiej smakuje. Jak się ją łączy, dalej nie próżnuje. Jak się przyłączy, i kontraty. Jest dalej list gończy, i podpisane szyki. Sigmund opowiada mu starą legendę. O pewnym dzieciaku, który żył pędem. Któremu rodzice wszystko dawali. A potem, tego wszystkiego mocno pożałowali. Bo uzależniony od dobrobytu. Nie potrafił docenić zwykłego zachwyty. Nad rzeczą prostą, całkiem dosadną. I samobójstwo, chwilą powabną. Bo bez radości, zostaje ciemność. Bo bez przykrości, chwili pojemność. A młody człowiek, wolał wydawać. Więc wydał siebie, i już nie musiał się stawać. Wszystko stracone, bez smoka i księcia. Tak upokorzone, materiał pojęcia. W zgodzie z faktami, i przygodami. Sasza zasłania się wielkimi ideami. Że to nie wypada, żyć jak biedak. Że to przesada, czasem coś sprzeda. Czasem coś kupi, i co w tym złego. Ale próbuje jeszcze raz,

roztworu darmowego. No ciężko. Bo życie do tego doprowadza. Ruch ręką, a na ręce sadza. Taki jest świat, i jego koleje losu. Nie uchronisz się od tego wstrętnego sosu. Sigmund na to mówi spokojnie. Świat jest cichy, gdy duch strojnie. Żyje i z życia się cieszy. A zagubiony tylko próżnością grzeszy. Chcesz być najlepszy, chcesz się pokazać. By duszy oddychać, żyć zakazać. Nie zmusi, chwila, ani okoliczność. Niemiła ta Twoja spontaniczność. Gdy umysł całkiem przejął kontrolę. Gdy mówi, na rozwój duszy nie pozwolą. I sterty, tych zamierzchłych pragnień. Wywody i okolice zmartwień. Oby do końca, i chwila droga. Karta bez końca, i toń w nałogach. Oby zrobione, dzień, i rozstanie. Masz tu to nowe, wciąż zaczynanie.

Wiersz psa przybłądy

Wartość i skutki, to kalkulacja
Odmiana, wymiana, tak na wakacjach

Odrobienie, które wiele potrafiło
Na próżności się jednak wywalilo

Ogrodzenie 8

W tym wyniku, i staraniu. Zdartym szyku, przekonaniu. Chwila, moc i odrobienie. Takie piękne to istnienie. I się zbiera, owocuje. Przeobraża, tak pracuje. I zamienia, można rzec. Trzeba tu osobno siec. Te i słowa, myśl otwarta. W zabobonach, chwila zdarta. W Armagedonach, moc ukryta. Będzie potrawka znakomita. Z tego sznytu, i konkluzji. Z dobrobytu, znanej fuzji. Więc się zdradza, i optuje. Tak przesadza, koloruje. No więc spójnie, i z przekazem. Analogicznie dużym wąsem. I przegranie, dalej trzeba. Kategorie te tu z nieba. Tak to sobie wróg tłumaczy. Jak się żona mu łajdaczy. Jak odbiera, i wymiary. Konesera to rozmiary. I się przędzie, mówi wszędzie. Odnajduje te łabędzie. I odkrywa wszystkie karty. Tak spodziewa, nienażarty. I jest Sasza w tym skupieniu. Kolejny dzień, w tym podzieleniu. I jest Sigmund prosto idą. Ogrodzenie, go nie widzą. I zderzenie, twarde było. Potrącenie się zrobiło. I zdziwienie, o co chodzi. Sigmund przecież tu przewodzi. A Sigmund mówi, że nauczka. Że to jest jak metoda na wnuczka. Trzeba myśleć tu samemu. A nie przyjrzeć się innemu. Na tym właśnie życie polega. Na czujności w tych rozbiegach. By nie zdarzyć się ze ścianą. Nawet jak przed nią ostrzegano. I tak dalej, te mozoły. Przekroczenia, no i doły. Przemyślenia te już Saszy. Może to go nie wystraszy. Idą dalej, jest budynek. Kolejny dzień i delfinek. Wyrzeźbiony, tylko po co. Może ogląda się go tu nocą. Ale trakty i kontrakty. Ale zmory i pozory. Idą głębiej, jakie twory. Sasza prawie narobił w pory. Ale jest i komunikat. Coś ktoś mówi tu z głośnika. Że jest zmiana atrybutów. Wydajności, no i butów. Jakieś dalsze obwieszczenia. Co to za sala, jakie zbawienia. Co to za szum, i ich przykrości. To sala obrazy. Idź pozdrowić gości. Obraza na tony produkowana. Jest taśma, uskuteczniata. Pracują to dziesiątki niewiernych. Odrabiają chleb, potrzebny. I te straty, odnowienia. Ja garbaty, efekt cienia. Jak pstrokaty, przekazania. Będą tu odmienne zdania. I jest finał tych pociągnięć. Ktoś tu zemdłał, igrać, tomnieć. Ktoś to nagrał, jaka draka. Będzie otwierana paka. Przyszła dostawa, ta z częściami. I jest naprawa, zgodnie z

prawidłami. I jest zapadnia, na co trzeba. Może za dużo zjedli chleba. I się nadaje, znowu nowina. Sigmund mu mówi, że to nie kpina. Że może porozmawiać z kierownikiem. Zapytać zgodnie ze stanem, licznikiem. No i jest, chwile czekania. I kierownik, do odpytywania. Sasza o wydajności coś tam gada. Kierownik rękę za rękę zakłada. Po wywodzie naszego kompana. Kierownik mówi, że to parszywa zmiana. Bo roboty tutaj dużo. Przy obrazie ludzie służą. Ale nie wytrzymują długo. Trzeba zmieniać, i tak chudo. I nadmieniać, akcje drogie. Tak przemieniać, to nałogiem. I zaszłości, przytyk marny. Niedociągłości, odbiór totalny. Sasza o sens dopytuje. Przecież obraza go nurtuje. Ale w sumie nic wielkiego. Nie ma przywiązywać się do czego. Na to kierownik kończy fartem. Było zwięźle, tak poparte. Że to małe, niedoceniane. Ale świętowanie tu szampanem. Bo no widzisz, kolego drogi. To niszczenie, awaryjnej drogi. To składanie dalej broni. Później nikt Cię nie obroni. Jak odcinasz się od dobrego. Jak niszczysz obrazą człowieka drugiego. Niby nic a wiele może. Jak chcesz, to Ci się podłożę. Ale nie, Sasza milczy. Koniec rozmowy, apetyt wilczy. Na stołówce fabrycznej pustki. Sprzedają jakieś flaki i trzuskki. Ale była kanapka z serem. To się pożywił. Nie jest przecież zerem. Pani za lada pyta o powody. Co go tu przygnało, w te ciemności zwody. Jak się to sprawdzało, na ziemi życzenie. A Sasza coś gada, jedno upodlenie. Że marność, i w ogóle walka światów. Że zdalność i kraina wielkich wariatów. Sigmund przypomina o darmowej degustacji. To wracają, i kosztują smakowitej racji. Sigmund czeka, i się śmieje. Sasza przez chwilę ma nadzieję. Ale uderza mocno do głowy. Obraza, i materiał do krzyków gotowy. Że Sigmund za mało się stara. Że jest jedna wielka niezdara. Że w ogóle mu nie pomaga. Że tylko głupotę wokół rozsadza. I to wakacje są do bani. Wszyscy równo nieposkładani. Za co w ogóle tutaj płacę. Na ziemi to się przynajmniej bogacę. Nie było końca, tego obrażania. Największego majestatu i jego skalania. Wszystkich w kolejności alfabetycznej. Zmora się cieszy, w przestrzeni magicznej. A Sigmund się śmieje, i mówi, że działa. A to antidotum, już się nie rozwała. A to jawny trotyl, i widzisz działanie. Masz tu odpowiedź, na swoje pytanie. Tylko rany w ludziach zostają. Tylko obraza, z nią się zadają. I jej odmiany, nie zliczę wszystkich. I te przemiany, z okazji dni dżdżystych. Jak podsumować, i te wykręty. Jak obligować, człowieka do zachęty. Co się tu zmieni, i jakie etapy. Efekt jeleni, i połamane łapy. Który do końca, co obiecywał. Jak tu do końca, naczynia zmywał. Efekt się wtrąca, na stałe zostaje. Koniec dnia, kolejny będzie bajer.

Wiersz psa przybłądy

Widoki słynne, i te potoki
Skraje dziecinne i dalsze tłoki

Obraza się na piedestał wkrada
Że przegra, nigdy nie zakłada

Ogrodzenie 9

I staje się nowina sroga. I powykrzywiana już Saszy noga. Trochę się za bardzo starał. Trochę przesadził, stare cygara. I w tym dymie nie widział drogi. No i już są kolejne metody. Jakieś masaże, bólu ukajanie. Jakieś potwarze, ktoś ma własne zdanie. Jak się tu spocić, i dotrzeć do celu. Jak odrobić swoje, pyta jeden z wielu. Wymiary pochodni, i przegląd nowinek. Arcydzieło garncarstwa, zestaw jedynek. I tak się odwdzięcza to słowo. I już nie musisz ruszać głową. W przekonaniu, i pewnej konkluzji. W nacieraniu, i zbrodniczej fuzji. Jak to opatrzyć, by nie zwariować. Jak oczy zatrzyć, by się dalej schować. Przed przyłożeniem, i dalszym przytoczeniem. Przed obchodzeniem, i jawnym strumieniem. Jak się to nazywa, i okoliczność droga. Kto kogo przyzywa, i odporność sroga. W jakiej to walucie, i w czym lewym bucie. Wszystko tu jak w hucie, piekielne to trucie. I się zanosi, kolejne spotkanie. I się podnosi, to słów składanie. Jest już nasz Sigmund, i ta chwiejna droga. Podróż bez powrotu, czy może zwykła kłoda. I się odwzoruje, co dalej przestaje. Jak się Sasza czuje, i czy dalsze zwyczaje. Jak odnosi rany, i czy cały poskładany. Jak wymowy bramy, i kwinta! poczuć plamy. Jest, i idą, kolejna nowina. Podziemny płot, to chyba jakaś kpina. Kto wymyślił ogrodzenie pod ziemią. I te całe tunele, śmierdzi tu tylko chemią. Ale przekroczenie, dalej następuje. I dalej tunelem, ściany z kości, rokuje. Może w ramach zazdrości, albo przytoczenia. Wizerunek dla gości, i dalsze przyłożenia. Sasza pyta Sigmunda o tą nową otoczkę. O co tu chodzi, że przechodzi boczkim. O co i jak w skaraniu, będzie dalsze przyłożenie. Sigmund odpowiada, że to tylko okoliczne bajdurzenie. I jest, w końcu, podziemna sala. W należyłości, oddychać nie pozwala. Bo to sala zakazów i własnego przekonania. Jest tu dużo wilgoci, od tego ciągłego gadania. Zakazy i własne zdanie, czy jest coś w tym złego. Pyta Sasza, wygląda na zdziwionego. Przecież trzeba kontrolować ludzi. Zanim się drugiemu człowiekowi życie znudzi. A widzisz, mówi Sigmund srogo. Jedni muszą, inni mogą. Jedni suszą, drudzy wycierają. I z efektów swojej pracy, sprawy sobie nie zdają. Tak to tu działa, zakazy-przekonania. To pewien rodzaj raka, i nie-boskiego skarania. To pewien rodzaj pracy, i modlitwy czartów. Laboratoria znają, przykłady takich żartów. I się dobywa, znowu Sasza obrywa. I się ześlizguje, znowu ktoś oszukuje. I Ci ludzie, grzechami testowani. Zakazy-własne zdanie, i są ze skórki obrani. Jak tu dalej, i to ciężkie przyłożenie. Niedbale, i trzeba gonić cienie. Ospale, i wyważona inkszość. Wspaniale, i podrobiona przejrzystość. Aż nagle gaśnie światło, Boże, co się dzieje. Boga w to nie mieszaj, masz inną nadzieję. Wymiana spostrzeżeń Sasza-Sigmund. Miliony ostrzeżeń, dalszych wygód. Widzisz, pod ziemią nie da się bez światła. Mówi Sigmund i zgłasza kolejnego światka. Sprzątacz bowiem bokiem przechodził. I Sigmund go zaczepką nagroził. Jak się pracuje, i czy zakazów wiele. A dobrze, przyjacielu, lepiej niż w kościele. W kościele czystego sumienia wymagali. A ja tutaj sprzątam tylko brudne na sali. Sumień tu nie brakuje, jedno drugie oszukuje. Każde ma własne zdanie, i co do słuszności przekonanie. Każde ma swoje poprawianie, i innych nawracanie. Wszystkie jednak lubią to samo posłanie. Sasza słucha i nie rozumie. Od ucha do ucha, jeden płynie strumień. Sasza zdradza, i ciemnotę popiera. Bez światła lepiej, wróciło, cholera. Ale i ten świadek, dalszy niejadek. Ale i znaczenie, kolejne oclenie. Komu wytwór wspomnień, a komu upomnień. Jaka tu nadzieja i z kim tu zadziera. Ponowienie, i dalsze przytoczenie. Sigmund mówi coś, jakieś majaczenie. Że słowa, że zdania. Że materiał z obrania. Że fakty, że spójne. Ostrzeżenia podwójne. Sasza nic nie zrozumiał, ale posilić się umiał. Jest darmowa próbka. Test, prawie jak wódka. Fest, wchodzi, zakaz-

przekonanie. Jest, siebie badanie. I zdziwienie, jak to łagodnie osiada. I wytchnienie, już organizmem włada. Dla przykładu, i powabu. Dla zdziwienia, tego składu. Lecz po chwili, już przestawia. Sasza, wszystkich, jest zabawa. Mówi co mają robić i zakazuje. Wie wszystko najlepiej, to go rajcuje. Sigmund odtrutkę mu jednak podaje. Ten się śmieje, i okoniem staje. Jak śmiesz, człowieku marny. Głupiec z Ciebie, i to zdalny. Na sterowanie, faktów dokonanie. Na przechowanie, marne obcowanie. I tak dalej, Sasza się rozpędza. I najdalej, jaka z tego przędza. Co się ukrywa, co się syci. Przeszło mu po godzinie. Wszyscy oddech, zmyci. No i wiarygodność, ta dalsza nowina. Pełna, cała zbrodność. Kategoria, kpina. A co by było, gdybyś sam się zobaczył. Na co dzień. W lustrze. Sigmund mu tłumaczył. Ale Sasza potrzebuje wytchnienia. Okrzyczał się biedny, powód odrodzenia. Złych nawyków, kategorie krzyków. I tak już zostało. Choć inaczej być miało. Może, w uporze. Dalej, pomoże. I zobaczymy, jaka obojętność. I przemilczymy. Kategoria, względność. Sasza już wracać sam tu próbuje. Sigmund odprowadza, i spokojnie nocuje.

Wiersz psa przybłądy

Wytwór zgrozy i intencji
To obozy, tych niechęci

To powrozy, zapomnienie
Te zakazy, w przekonaniu powieszenie

Ogrodzenie 10

W tym odkryciu, i mniemaniu. W takim dalszym oszukaniu. Się tak zwięźle odnajduje. Coś tu znowu proponuje. I się zdaje, że wychodzi. I oddaje, nie przewodzi. I wydaje, trzyma skosem. Wszystko tu podlane sosem. I machina, dalej zwięźła. I przyczyna, nie przy węzłach. I dziedzina, która prosi. Wytrzeszcz, opatrunek znosi. I tak dalej, w tym przytyku. I najdalej, z zdartym szyku. Się przyznaje i zamienia. Wszystkie kategorie cienia. Powolutku, hulać trzeba. Po cichutku, jak potrzeba. I w tych zmianach, obeznany. Sasza zbija tarabany. No więc wtórnie, ukoszenie. Tak znajome przenoszenie. Tak powtórne, dalsze plany. Będiesz tutaj odkrywany. I tak można, te jedyne. Chwile trwożne, pojedynki. Jak nabożnie, kroki stawiać. Jak się dalej zastanawiać. I co potem, gdzie morały. Jak krew z błotem, ideały. Się dowodzi, i przewodzi. Ktoś to na pohybel słodzi. I się zdaje, że wymaga. I się odkrywa, dalsza przewaga. I nanosi, że należy. Sasza popołudniu leży. I ten Sigmund już tu czeka. I tak cicho tu narzeka. Że ten leń, godzina mija. Jego nie ma, i przewija. W końcu się z łóżka gramoli. Złego słowa, nie pozwoli. Sasza oddychaniem zmęczony. Jak ten dzień, taki wyśniony. I rozmowa, o pogodzie. Okoliczności, w dalszej rozwodzie. Jak przewidzieć, co dalej będzie. Tu na krańcu światów łabędzie. No i zbiórka tych funduszy. Tu przy ogrodzeniu, może ktoś ruszy. Do puszek, na dobrą nowinę zbierają. Ani myślą, kuśtykają. Sasza mija, przeskakuje. Nie straszny płot, choć się mocuje. Nie straszny zwrot, i te konwenanse. Rozmowy tok, jadą dylizanse. Kolejna sala wykuta w skale. Ciężko oddychać, acz doskonale. Dziwnie tu ciemno, i zakamarki. I te

laboratoria, białe firanki. No więc i dobrze, Sigmund humorem tryska. Mówi łagodnie, że to letnie igrzyska. W obojętności, tutaj tworzonej. Dla społeczności tak wymarzonej. I tak się sprawdza, Sasza próbuje. Pyta badacza, czy mu produkt smakuje. Ten odpowiada, że nigdy nie próbował. Bo wie, że gdyby to zrobił, to by żałował. Czyli to tylko praca, podsumował Sasza. A praca popłaca, badacz go ugasza. No i stworzenie, to dalsze istnienie. Tak przerobienie, konkretne wiercenie. Sigmund mówi o obojętności. Że łamie wszystkie duszy kości. Że kłamie i przeinacza. A na końcu powtarza, to tylko praca. No i co dalej, kolejne przystanki. Sala jest długa, ma tramwaj, z łapanki. Biletów się tutaj nie podbija. Wokół wszędzie skała, z człowieka się zbija. Jak tu wynagrodzić, i jak prosto chodzić. Jak tu się spodziewać, i czy można się nadziewać. Na obojętność, czego się po niej spodziewać. Całą zakłębłość, czy można beztrudnie przywdziewać. Jak się tu odnosi, i dalsze przystanki. Sasza się zatrzymuje, i poprawia firanki. Nie zastanawia go, po co firanki w jaskini. Takie to oczywiste, skoro nikt nie wini. No i tak dalej, przyłożenie zwrotne. Te wszystkie żale, i chwile ulotne. Te wszystkie strony, i piknik rozłożony. Po środku testerów, nie ma tego złego. Badania na ludziach, gdzie tu obojętność. Przecież w tych trudach, mają swą zajętość. Przecież nikt nad nimi nie stoi z batem. Testują, bo mogą, nie jestem wariatem. Podsumował Sasza, i coś w nim się pali. Jakaś lampka, może to wina robali. Ale je, chleb z kawiozem, okraszony. I chce, zabić w nieistniejące tutaj dzwony. Ale nie może, coś go znów stopuje. Jak w komorze, ktoś tu oszukuje. I wycieczka jakaś turystów przechodziła. Chińczycy. Jakaś mała rękawiczkę zostawiła. I tak to się styka, dalej potyka. I tak sprawozdanie, koleżeństwo znika. Takie zadanie, Sigmund wraca z sokiem. Mówi, że świeżo wyciskany. Z obojętności, tłokiem. No i próbuje, Sasza, coś go uderza. To wielkie NIC, tylko dokąd zmierza. To że wielki PIC, i obojętność. Wykluwa się z jajka, gdzie tu ta cała świętość. I się spodziewa, dalej planuje. I koc przywdziewa, z firanką się mociuje. I kawałek drzewa, utkwiał mu w lewym oku. Sigmund pyta jak się miewa, a ten, że stoi w rozkroku. No więc pospólstwo, i wynik ramek. Całe to gadulstwo i poprawianie firanek. Jakby raz nie mogli ustawić właściwie. Jakby zachowywali się trochę bardziej chciwie. Gdzie wyniki, i pora opatrunku. W rytm publiki, wymartego gatunku. W styku prawicy, w własnego zdania. Masz odpowiedzi i kategorie mniemania. Podobno zbierają na własne słońce. Mówi Sigmund łącząc oba końce. Tu w fabryce, na obojętności dorobieni. Podobno mają dość tych wszędobylskich kamieni. Nawet o dotację z Unii wystąpili. Rozwój kategorii biedy. By się obłowili. Tylko jakaś literówka we wniosku. Tak jest, jak się kupuje gotowce w przydworcowym kiosku. No ale trudno, i dalsza nadzieja. Chwila nocą żmudną, i tonie w prądziejach. Koniec dnia pewnego, to początek lepszego. A przynajmniej Sigmund się nie odwraca od tego. I tak rozstanie, chwila odpoczynku. I tak prześląganie, kontrolą spoczynku. Jak się tu obronić, i co można strwonić. Jak cele wyznaczyć, i królika dogonić.

Wiersz psa przybłądy

I stracenie, obojętność
Przedobrze, pełna względność

Upokorzenie, komu zostało
Sprzeniewierzenie mocą się stało

Ogrodzenie 11

I tak się zaczyna, kolejne sprawdzanie. Jest prosta przyczyna, i dalsze przekraczanie. Wytworna nowina, i słuchu poprawianie. Byleby nie spina, jest jedno zadanie. Sasza się stara, konfiturę gotuje. Po co mu to, skoro na grzechy poluje. Ale jest, i wytwór tej pożądlivości. I test, konkretna struktura jakości. Kolejny dzień, i chwili uchwycenie. Kolejny leń, i dalsze przyłożenie. Wątpliwy cień, bez grama ambicji. Koalicyjny rdzeń, szuka ekspozycji. I tak się dalej, pokazuje naskalnie. I chwilę nalej, wartości są zdalne. W wytworze i skutku, dalsze przyłożenie. Podwozie, i chłód tu, wieczyste spoufalenie. No więc spacja, i dostaje się do środka. Tak okrętnie, szukanie pod, na. Tak wykrętnie, i dalsza możliwość. Osobowość, i dalsza spolegliwość. Sigmund nie wie co ma powiedzieć. Czy upomnieć, czy spokojnie siedzieć. Ale zostaje, i idą przed siebie. Dzisiaj wizyta w chmurach, na tym pięknym niebie. Bo kolejna sala jest w chmurach ukryta. Bo kolejna zależność, bardziej jeszcze zbita. I ta cała zwięzłość, pasem przepasana. Mówi co chce, od samego rana. I tak się skręca, samotnie zostaje. Potrzymanie rozkręca, ile od siebie daje. Jest i ogrodzenie, zdadne przeskoczenie. Żeby nie było, wszystkie wartkie cienie. Sasza sobie radzi, nie raz już skakał. Próba nie zawadzi, nie będzie po niej płakał. I jest ta sala, tak bardzo wyczekiwana. Wszystko tu piękne, hala w satynę ubrana. I się streszcza mnogość, i dalej poddaje. Pozostaje wrogość, i małe detale. Podpasane złości, i smak ten litości. Wymagane chłody, i zapach litości. No więc dalej głody, i o co tutaj chodzi. Tu na tej sali, laboratorium przewodzi. Sigmund mówi, że chciwość tu produkowana. Różne jej odmiany, i dalej zamiana. Komu jaki smak, gumy balonowej. Jest też zapach coli, w kategorii zdrowej. Może za mocno przysoli, ktoś z drugiego rzędu. Na ile mu pozwoli, protokół tego urzędu. I tak się spina, i dalej donosi. Jaka to przyczyna i o co prosi. Wymowna dziewczyna, włosów poprawianie. Prawie jak koniczyna, znajome jej zadanie. Nanosi ornamenty, chciwość koloruje. Jakie to jej zdanie, i jak długo pracuje. Jest w tym sprawna, dwa razy nie poprawia. Wszystko ręczna robota, Sasza się zastanawia. I pyta tej oto dziewczyny. Ile zarabia, a ona że to kpiny. Że w odpuszczeniu win to taka zapomoga. Że podobno bliżej nam będzie do Boga. Ale nie ma wyjścia, to i tak jest lepsze. Niż siedzenie w piekle, tam cuchnie powietrze. A tu mamy nienormowany czas pracy. I zasuwamy, jak na zmywaku rodacy. Więc się odkrywa, i dale przejmuję. Sine są jej ręce, pracy nie oszukuje. Uśmiech jest w podzięce, i dalsze zaległości. Wymiary, w tej wanience, i wiara w przyzwoitości. Jak się zbiera rzec, i dalej nie próbować. Placka można piec, albo się stosować. Konik, mówi precz, po co tu konie. I szurują kopytami po tym chmur betonie. Jakie zależności, i chciwość poprawiona. Te z przyzwoitości, chciwie naznaczona. Ta z przyległości, i odbiory wartości. Były też i będą, te przyzwoitości. Dramat męki powtórzony. Te udręki, naznaczony. Te od ręki, tu wychodzą. Sigmund mówi, że się płodzą. Sasza o stany dopytuje. Te magazynowe, gdzie się to składa. Te ciągłe nowe, mówi Sigmund, są zawodowe, jeden trud. Wymierzone, i odłożone. Leżakują, tak spełnione. No a później to na pakę. I wywody, jadem zatem. To dla ludzi, zaopatrzenie. Kategoria i dzielenie. Się nie znudzi, dalsza inkszość. Jest wymowa i tragiczność. Komu zdanie, i twierdzenie. Takie to słów spełnienie. Takie to dopracowanie. To z chciwością obcowanie. Ale

się strąca i ujmuje. Sasza tu nie oszukuje. Dlaczego oni tacy czerwoni, pyta o te lewe strony. Eksperymenty na ludziach nie wchodzi gładko. Czasem jest strach, wielką zagadką. Czasem jest ból, i dokładanie. Wynik badać, przedawkowanie. A łatwo z chciwością jest przesadzić. Mówi Sigmund, trzeba gładzić. Trzeba dbać o jej przyrosty. Nie przesadzić, kiedy wzrosty. I tak dalej, w pełnym sądzie. I najdalej, w tym przesądzie. Sasza się tak zastanawia. Kto te prawa tutaj ustanawia. Na to Sigmund, piekło samo. Obsadziło, co nagrano. Przesadziło, zmiany całe. Porządek, tu i bonusy doskonałe. Bo jest krew tego niechciejstwa. No i szum, sprawnego podejścia. Jest ten motór, co snuć daje. I konkretne, dalsze zwyczaje. Komu spust, i ten zaczynek. Tani chrust, wyrok kpinek. Jeden gust, w chciwości chciany, będzie tutaj rozpoznany. I odwyki, pyta Sasza. Te uniki, nie dogasza. Na to Sigmund, że spór dolny, ale chwilę monotony. I się zdaje, tak poprawia, koniec dnia, nie zabawa. Sprawa ta, nie przeciążenie. W chciwości słabe marzenie.

Wiersz psa przybłądy

Wynik batalii odnowiony
Masz marzenia i batony

Chciwie łapiesz za kokardę
A tam mięso, stare, twarde

Ogrodzenie 12

W tym przytyku, i teorii. W zdartym szyku, trajektorii. Zmiana słów i mniemanie. Poziomy to dopasowania. I się zmienia, tak optuje. To nie ziemia, oszukuje. To podziemia tej teorii. Wszystko w imie zbrodni. Tak ukrytej tu w zaroślach. Komar, opcja, o podłościach. Wywód smaczny, przerobiony. Jest kiełbasa, to dla żony. I się streszcza, powątpiewa. I podkreśla, wszystko z drzewa. I nakreśla, ten naddatek. Oby wyszedł dobry placek. I się streszcza, wiwatuje. Kodeks prawny, apeluje. I podkreśla, wartość sroga. Oby tylko nie w rozłogach. I konieczność zapłodnienia. Wieloznaczność tu istnienia. W wielkiej sprawie, zostawione. Tak w obawie, przewróć stronę. I oddaje, algorytmy. Wszystkie poskładane sitwy. I zabiera, na przechadzkę. Przedkopolacyjną schadzkę. A tu Sasza rozbawiony. Pewnie nowe zabobony. A tu Sigmund, postać trwała. Nie odrywa, nie niedbała. Struna rzecz, więcej musi. O co dalej się pokusi. Dwunaste to jest ogrodzenie. I ten płot, przeskoczenie. Jak się zmywać, tu bez karku. Jak znajomić, dalej w Darku. Jak przestronić, wynik chłodny. Będą tu wezwane bobry. Bo ta sala jest pod wodą. Tu w głębinach, nie wszyscy mogą. Tu w rozpadlinach, tej egzekucji. Masz możliwość i skutki polucji. No i zgraja, czarnych powiek. Nie nastraja, każdy to wie. Nie przyswaja, znalezione. Będzie tutaj zostawione. Sasza pyta co tu pędzą. Ociężałość, tu zdobędą. Kropelka po kropelce leci, mówi Sigmund, nim odleci. I tak się sprawy tutaj mają. Wyrobownicy, nie odstają. A czy sami mogą spróbować. Pyta Sasza, chciałby skosztować. Na to później przyjdzie droga. Póki co, w wiedzy swoboda. Póki co masz tu swój kanał, jest ta telewizja, banał. I reportaż o produkcji. Ociężałości, i jednej opcji. Że człowiek nie wie co się z

nim dzieje. Że na zmianę ma wiecznie nadzieję. Ale do zmiany nigdy nie dochodzi. Nic go z marazmu nie wyswobodzi. Bo podpija te kropelki. Ociężałość tu z butelki. I te chmielne aromaty. I te zwiewne, jak granaty. Sasza siedzi zauroczony. Drugi odcinek, a on nie spełniony. Jak reportaż się podobał, pyta Sigmund, i się schował. Wielka szafa z gadżetami. Jakimiś od ludzi prezentami. Sasza ogląda, i wyciąga giwerę. Sigmund spogląda, w tą inną sferę. Po co Ci to, to dla zasady. Obronność na pokaz, takie stare zwady. I idą, na degustowanie. I próbują, przedostatnie zdanie. I kosztują, jakie są morały. System jest, ale zardzewiały. Ociężałość, puls tak zwalnia. Jak latarnia, i to co ją spowalnia. Jak sieczkarnia, i tłoki przyziemne. Opcje zgód, i wariacje podziemne. Ale można, od czasu do czasu, mówi Sasza, jakby pod wodą szukał lasu. Ale zgodzić się nie wypada, mówi Sigmund i opatrunek nakłada. Co za szkoda, ten ideał. Taka zmowa, nie wycierał. Taka chłodna, amunicja. Jak wytworna, koalicja. I się streszcza, w tym przytyku. Nie rozpieszcza, w zdatnym szyku. I znajome, podglądanie. Toaleta, na żądanie. Po co spłuczka, tu w ogóle. Tu pod wodą, w tym szczególe. Ale jak to się wszystko utrzyma. Sala ta cała, że nie ruina. Przecież ciśnienie, i inne sprawy. To jak pragnienie, dla tej zabawy. To jak stracenie, i ociężałość. Jedno życzenie, czysta wspaniałość. I się tak mości, nie, nie zazdrości. I wydobywa, zapach ten gości. Jakaś staruszka, wpadła popatrzeć. Od ucha do uszka, sentyment zatrzeć. Ale nie bardzo jej to wychodzi. Z uścisku ociężałości, się nie wyswobodzi. Z pozycji ucisku, i jawnej racji. W ferworze zmysłu, i straconych wakacji. Na koniec Sigmund, swoje mądrości. Gada coś, w dialekcie, o ociężałości. Że nowi wygina, każdą w inną stronę. Że znowu zaczyna, jak chwile naznaczone. Ile tak można, i dalsza legenda. Wytwórnia grzechu, a tu jakiś przybłąda. Wpada, bo mówi, że był na rybach. Znaczą nurkował, a przynajmniej chyba. I tak znaczenie, tutaj odkrywa. I to sprzymierzenie, opcji dobywa. W jednym systemie, i naleciałości. Odmienność w jego głowie od dawna już gości. I tak się zmienia, koalicja cienia. I tak zanosi, odwrotność przenosi. W jednej zaległości, pokonanej odległości. W wytwornej przyczynie, a nie że w kpinie. I jest zasada, co raz to otwiera. Kolejna zwada, wina konesera. Ktoś kogoś trącił, ociężałość rozlana. Tyle było litrów. Będzie druga zmiana. To posprząta, takie skojarzenie. To po kątach, i to uwypuklenie. Może była piąta, i dalsza zależność. Ale to ładnie wygląda. Ta cała zbieżność. I się wydobywa, odór całkiem spory. Opary rozpoznane, jak świni otwory. Pozory rozeznane, jak jakości spięć. Było nie pozować, ze świnią do zdjęć.

Wiersz psa przybłądy

Wynik spraw, i przeglądania
Opcje braw, bez gadania

Można od święta, można stale
Ociężałość wyciąga żale

Ogrodenie 13

W tym wyroku, dalsza racja. I w obłoku ta narracja. W zgrzycie, dalsze pouczenie. Masz możliwość i spełnienie. Można dalej, i przechodnia. Ta wiadoma monotonia. Można bliżej i przyrynek, tak wątpliwy ten sentyment. I się zbliża, owocuje. I poniża, wyobcuje. Kategoria

dalszych wspomnień. I możliwość tych upomnień. Po co dalej, abnegacja. I te żale, ach atrakcja. Po co stany, alegorie. Dobrze zawinięte w folię. I się zdaje, tak namnaża. To wystaje, tam zamraza. I wiadome chwile drogie. Sasza się częstuje nałogiem. I te zbiory, które mówią. I pozory, dalej lubią. Kategorie dalszych wspomnień. I minuty bez upomnień. No i spacja, ponowiona. I rozgraniczona żona. Te wyglądy, można wspomnieć. I poglądy, się upomnieć. Te wyjątki, dalej grane. Będą równo układane. I przechodnie te idee. Monolity, dalej wieje. No więc spokój, abnegacja. Ta już druga, tu atrakcja. Ta wiadoma w swoich nacja. Będzie odwiedzana stacja. I spotkanie z Sigmundem. I wierzenie, w każdą sekundę. Co dziś Saszy znów pokaże. Na jaki zegar palcem wskaże. I jest, natłok i zwyczaj. Mocy tok, i jej rozstaje. I jest mur, to ogrodzenie. Takie będzie to spolszczenie. Jak go obejść, czy przeskoczyć. Jak wymiary, można skoczyć. Ale wina, pośliżnięcie. I dziedzina, nadeptanie. Wszyscy żyją, idziemy dalej. Sasza patrzy, Sigmund z prawej. Przedostają się do środka. Do wnętrza wulkanu, sala słodka. Cała hala tu schowana. W wulkanie, takim, jest już znana. W oparach lawy, i pozostałościach. W kategoriach sprawy, i tych, no, zaszłościach. No więc zegar, zero wskazuje. Ktoś go dalej dopytuje. Ktoś mu dalej, drobne wydaje. Ktoś po spawie, zdanie uznaje. I tak się toczy, legalna machina. Idzie tu produkcja. A nie jakaś kpina. Są odczynniki, i dział mechaniki. Są wydarzenia i skojarzenia. Efekt zamglenia, przez okulary patrzenia. Finał, bez zbytniego wyważenia. Sasza pyta, co się tu produkuje. Sigmund tylko głową potakuje. I po chwili dopiero dodaje. To słowotwórstwo bezmyślne powstaje. Takie dobrze nam przecież znane. Takie, mocno życiem styране. To wszystko prawda, i tutaj się święci. Dalsza kokarda, a nie niepotrzebne chęci. I się donosi, dalej zanosi. I wierzy w grę, straty ponosi. Komu się spina, styka, zawiaduje. Kto się potyka, na słowach, próżnuje. I tak już zakład, dalej podjęty. Wyprzedany nakład, i z chwili wycięty. Sasza ogląda wszystko dokładnie. Nie czeka aż mu czapka z głowy spadnie. Słowotwórstwo bezmyślne, pręży swe ramiona. Okrąża człowieka, czeka aż on skona. I tak dobiera się, dalsze wybory. I tak rozpiera, ontologiczne wzory. Się poniewiera. Komu i po co. Błąka się po wulkanie, nie tylko nocą. Stęka, takie gdakanie, i wymiary poezji. Komu się sprzedać, i nie wyrobić frezji. Żeby chociaż ładnie to wyglądało. Żeby chociaż rady to dawało. I jest. Wielkie ujednolicenie. I test, dalsze to sprawdzenie. Słowo bezmyślne testowane na ludziach. Wierzą we wszystko, mają to w podudziach. Przetrzymane, z wiatrem łapanie. Wybierane, do obiadu dodane. Ale przyjdzie efekt uboczny. Ale się dowie, kto sęk jest poboczny. I tak znajomość dalszego autorytetu. Sasza pyta Sigmunda, dlaczego tak dużo tu fletów. I grają, do taktu, słowa ustawiane. Stawiają, kontaktu, dalej ciągną bramę. Bo widzisz, odpowiada Sigmund przejęty. Chcą wyłączności, na człowieka, w rytmie zachęty. Przypodobać się i zostać już na stałe. To taka próżna swoboda, znasz ją doskonale. Z własnego doświadczenia, wiele widziałeś. Efekt przyłożenia, kim teraz się stałeś. I tak zostanie, ostatnie życzenie. Sasza prosi, o rytm i przyłożenie. Sigmund wyciąga z bambusa fujarkę. Gra, i podaje słowotwórstwa bezmyślnego miarkę. Sasza próbuje, i się dalej wierci. Coś go nurtuje, kiedy go rozkręci. Na drobne kawałeczki, co po nim zostanie. Słowotwórstwo bezmyślne, i zdatne zadanie. Po co komu, i dalszy minerał. Czuję się jak w domu, jakbym przez dziurkę od klucza spozierał. I te dalsze fakty, tak uskutecznione. I marne kontakty, ze światem połączone. Już Sasza wie, jak ten narkotyk działa. Słowotwórstwo bezmyślne dopomina się ciała. Jak się oszpeci, jak życie kaleczyć. Jak zdanie budować, i w tym zdaniu się schować. Wszystko już pojęte, dawno opisane. Kategorie zmięte, ale rozruszane. Sigmund na koniec wskazuje na zegar. Dalej pokazuje zero, jakby cicho siedział. Jakby nie znał się na dacie, ani godzinie. A może

to wszystko stanęło, trzeba przyjrzeć się rodzinie. A może czas tu nie ma pola swojego działania. A może słowotwórstwo bezmyślne wymiar czasu zastania. Wprowadza coś, co odrywa. A później się na człowieku wyżywa. Nieśmiertelność bólu ujednoliconego. Tą odrębność, stanu obróconego. Sasza w obliczeniach już się gubi. Ciekawe, może będę drugi. Drugi co coś tutaj znaczył. Drugi, który zero na zegarze zobaczył.

Wiersz psa przybłądy

Wartość rzeczy i przechodu
Odpych świadomego lodu

Odnaczenie wnet przekłęte
Bezmyślność słowa, i jedno ujęte

Ogrodzenie 14

I tak się składa, i donosi. Operacja poznana, o efekty prosi. Sieć pajęczna uznana, i tak wyplątana. Pająk nie wiedział co robi, bo balował do rana. I się wywija smutek, tak dalsze opóźnienie. I potencjalny skutek, dalsze to spełnienie. Komu na jaką nutę, i spraw tych przekładanie. W życie z dziurawym butem, i faktów przekłamanie. Sprawy się toczą, odgarną, i śmiech ponad blokami. Z piedestału wygarną, skutek przytrzymał drzwiami. I na świadomą tę nutę. Wymiana osobowości. Wartość wygina borutę, i skutek przyległości. No więc i Sasza, i jego myśli zakłęte. Ofiarują już spadek, znaczy się zachętę. Do czego to doprowadzi, i jaki efekt sporny. Czy finał będzie w kadzi, kategoria bezbronnej. Tak się wydaje twórczo, odmiany piedestałów. Było i jest obrazoburczo, tej jeden z finałów. Sigmund już coś narzeka, że na kolebę czeka. Jak to się skończy, przyrzeka, płynie dalej jak rzeka. Ale teraz ta praca, ciągle oprowadzanie. Ale teraz wywraca, to tu w tłoku stanie. I bilety, których i tak nikt nie sprawdza. I podniety, które nie znajdą sprawnego krawca. W myśl tandety, kolejne przekroczenie. Było to, czternaste ogrodzenie. Koloru sinego, jak zdanie twierdzące. Nic mi z tego, i jego ponoszące. A kolejna hala jest w trąbie nosorożca schowana. Będzie tu cała, tak dokładnie sprawdzana. Sasza pyta o co tutaj chodzi. Przecież nosorożec przez trąbę nie wychodzi. Na to Sigmund, że ten nosorożec identyfikuje się jako słoń. I nie straszna mu największa nawet toń. No to do dzieła, o co tu chodzi. Zdjęcie poglądowe, za ciemno, nie wychodzi. Zdjęcie okolicznościowe, jaśniej, oczami świeci. Sasza, jakby nie zwracał uwagi na walające się śmieci. No i dobrze, jest dalsza produkcja. No i spójność, widać dobra instytucja. Pytają o to, o tamto też. Tylko jak wielki musi być ten trąbowładny zwierz. No i dobrze, Sigmund opowiada. Tu są krzesła, tu się na testy rozsada. No weź, przestań, Sasza stopuje. I jakiejś emocji migiem wypatruje. Pewnie chodzi Ci o to co tu tworzą. Zaraz będzie, mówi Sigmund, na taśmę położą. I jest, wychodzi paczuska oklejona. Jak piękny prezent, na gotowo zrobiona. Rozpakuj, mówi Sigmund, zobaczymy co będzie. Na to Sasza, a co jak Cygan, albo gorzej, dwa łabędzie. Sigmund się śmieje i zachęca do walki. Nie będzie to jednak walka na przechwałki. Sasza rozpakowuje, powoli, dotkliwie. Coś go w palce kłuje, coraz bardziej chciwie. Coś go dłubie w nosie, od czego

to wzięte. Jaki podarunek, zaraz przy nim pękne. Ale jest, po długich namysłach. Próbach, funkcjach, oraz rozochoconych zmysłach. Sasza rozpakował, a w środku bezsilność. Ale taka hodowana, prawie jest jak zwinność. No i pyta Sasza, po co mi bezsilność hodowlana. Na to Sigmund otwiera szampana. To na dobry początek nowego życia. Żartowałem, to zwykła produkcja, szampan nie do picia. Produkują tu bezsilność hodowlaną. Taką przez lata dopracowywaną. Taką idealnie (cztery razy) wygłaskaną. A później na taśmę magnetofonową nagraną. I jest, i cieszy oko, i psuje człowieka. Bezsilność hodowlana, nikt na nią nie czeka. Ale dostają ludzie, myślą jak o cudzie. Ale w pełnym wymiarze, niejednemu marudzie. I się tak spełnia, materiał dopełnia. I tak tu wnioskuje, o urlop, nie protestuje. I te dalsze zwinności, do czego doprowadzą. Próba generalna, człowiekowi wadzą. Jest czas na darmowe testowanie. Próbką, co ma świadomość oraz zdanie. Sasza nadgryza, co będzie potem. Mówi, że już lepiej było za tym płotem. Pluje i wyciera, twarz całą mokrą. Coś go rozdziera, jak na okoliczność słodką. W jakim to wymiarze, i wymaganym skutku. W którym to rozmiarze, i wybranym gatunku. Trzeba się obłowić, myśli, a nie bezsilność dławić. Może i hodowlana, ale może zabić. Szkoda tego czasu, i chęci pospołu. Wszystko w rytm pamięci, i pustego stołu. No to zawracamy, idziemy się przespać. Mówi Sasza do Sigmunda, nie może już przestać. Cisnąć, i naciskać, to jest coś innego. Różni się, elementem, nie rozpoznasz dobrego. A może się mylę, jak Sasza wieczorem. Który rozstał się ze swoim dobrym humorem. Który stwierdził, że lepiej będzie na stojąco. I tak zasnął. Wiadomy efekt, misterium będzie żrąco. I Sigmund, który myślał o swej przyszłości. I kolejne sale, Wytwórni, dla gości. Czasem pokazywane, raz do roku. A może dwa, gdyby złamać protokół. Ale się streszcza, i dalej zostaje. Ale głos to świerszcza, że życie udaje. Terminy te obwieszcza, i zanosi się smrodem. Opozycja wiesz, deszcz zwany chłodem. I tak tętni, to życie uszami. W historię zakłęci, tak między wierszami. I tak sprawy, dziwny obrót przybierają. I tak wystawy, zawsze coś na sprzedaż mają.

Wiersz psa przybłądy

Słowa, co składają się hurtem
Wiadomość, wyrzucana za burtę

Bezilność hodowlana tak tu doglądana
Niby piękna, bo w trąbie była sprawdzana

Ogrodenie 15

W tym tak jasnym, przeistoczeniu. Może pierzastym, może marzeniu. Ale spełnieniu i wiele to daje. Ale wytrwaniu, i chwili dodaje. No i się spełnia, dalej wynosi. Jaka to przędza, i o co prosi. Jak podziękować, i się nie schować. Jak to zrozumieć, i życie umieć. Sasza nakłada, ciepłe skarpetki. W myślach zgaga, efekt fuszetki. W zakolach błaga, opcje porównań. Kategorie zgięć, i wyniki dorównań. Ale się składa, i tak przejmuję. Ciężka to waga, nie oszukuje. W pełnym przytyku, tak chwile strojne. Byłyby lepsze, gdyby dostojne. A tu się chmurzy, nie jak należy. A tu się burzy, jak w wielkiej wieży. Opcje porównań, i nanoszenia. Status utrudnień, dwa razy proszenia. Ale na skutek, i fanaberie. Kolejny smutek, pobierz mizerię. Ale odchyła, i

tak zostawia. Było wiadomo, wiadoma sprawa. I jest też Sigmund, z nim to spotkanie. I dalsza część, oprowadzanie. Dzisiaj wyjątek pewien uznany. Historia łyż, i łyż tej plany. Bo kolejna sala w łzie się znajduje. Bo kolejny niezdara, odpowiedzi poszukuje. Jak to wypada, i gdzie się skrada. Dlaczego łyż, gdzie moja wada. Ale zanim ona, jest to ogrodzenie. Chwila nie strącona, słysząc to spocenie. Wartość wyoblona, i wiadome skutki. Historia wytworzona, tak jak morze wódki. I przekroczenie, Sigmund oraz Sasza. I przyłożenie, to ważna chwila nasza. Przeistoczenie i etapu poznanie. To przymierzenie, i co ważne, uznanie. Sasza pyta, o co w tej hali chodzi. Sigmund czeka, aż ten nogi rozchodzi. Aż się ze łyżą pogodzi. Początkowo opornie to Saszy wychodzi. Ale z czasem się przyzwyczajają. Sala cała we łzie, czy to jest kara. Jaki szacunek, i odrobienie. Gdzie poczęstunek, jasne istnienie. Sigmund mówi, żeby zobaczyć jak tu zielono. Ile drzew i krzewów, nie pokrojono. Ile tych uśmiechów, nieodwzajemnionych. Bo na tym to polega. Kategoria spraw straconych. Produkcja jest tu nieodwzajemnienia. I takiego zwykłego umysłowego niechcenia. Do czego to prowadzi, pyta Sasza zielony. Komu to tak wadzi, myśli rozężłony. Ale Sigmund spokojnie, wszystko na wierzch wyciąga. Całe nieodwzajemnienie, uczuciowo w przeciągach. I ta strata, pocziwej równowagi. I ta zatrata, błędy wielkiej wady. Jak to uporczywie, plamy pousuwać. Jak w przeźroczu sprawnie, melodie podsuwać. Komu ta dziedzina, i efekt tłoczenia. Nieodwzajemnienie, się burzyć zaczyna. Bo wymaga ofiar, i straty przeciągłej. Bo planuje zamach, w wydatności głodnej. Jak tu się uchronić, i na co nam przyszło. Sasza ogląda dalej to produkcyjne widowisko. Jak się zanosi, i czy okazuje. Co kogo ponosi, jak dalej planuje. I w tych to wymiarach, świat znów oszukuje. W wydatnych rozmiarach, znowu coś ślubuje. Aż nagle tłok, i zamieszanie. Przyjechała dostawa, nie jest to drugie śniadanie. Tylko nowi ludzie ze Strefy Cienia. Ludzie do testów, kategoria człowieka zmienia. I tak to dalej, parszywa wymiana. Tamci na przemiał, albo strata dodana. Ci tu zostają, nie wiadomo czy się nadają. Szybkie testy, sprawy, czy do powiedzenia coś mają. Ale jest ktoś kto decyduje. Jak duch, tylko się tutaj snuje. Jak słuch, wielki rekonesans zrobiony. Bez słów, dzieli ludzi na dwie strony. I zostawiają, to co było za sobą. I przemawiają, ostatnią ozdobą. I się wydają, tak bardzo przerażeni. Testy na ludziach, nie będą spełnieni. No ale szkopuł, i dalsza legenda. Taki protokół, i pies przybłąda. Wszystko to dzieje się we łzie pewnej kobiety. Chcesz wiedzieć więcej, nie możesz niestety. Sasza coś kręci się, i spać nie może. Sigmund zachęci, spanie o wczesnej porze. I w czasie zwiedzania, niewiele daje. Sen tylko odpoczynek za dnia udaje. Ale jest, darmowa próbka. I ten test, smakuje jak wódka. Nieodwzajemnienie, i w głowie szumi. Trochę się kręci, pijany zrozumi. No i te skutki, jak arsenał wielkie. I te przerzutki, i gadżety wszelkie. Jak tu odtrącić, to odtrącenie. Jak tu przekonać, pewne stwierdzenie. Z pomocą, jak zawsze, Sigmund przychodzi. Chwile wytrwalsze, znowu coś się rodzi. I tak ten dzień, powoli się kończy. Sasza zawiedziony, kolacji nie dokończy. No i ta spółka, i minerał drogi. I ta bibułka, wszelkość mi wychodzi. Sigmund pyta na koniec o wrażenia. A Sasza na to, że łyż ma misje do spełnienia. Może tak, może nie, każdy niech domyśli się, kończy Sigmund i zaczyna. Jest tu hamak i rodzina. Jest wiadomość, całkiem zwrotna. I pochodnia, mamut, tłocznia. Są banały i odpusty. Sasza, chyba jestem tłusty. Na to Sigmund okiem rzecze, prawda, miła, nie zaprzecę.

Wiersz psa przybłądy

I się spycha to twierdzenie

Nie dopycha, obrodzenie

Będzie to nieodwzajemnienie
Trwałe, jak w błocie brodzenie

Ogrodzenie 16

W tym wymiarze, i efekcie. Tak w rozmiarze, jak w defekcie. Ci pokażę, i wysnuję. Może też tu zobliguję. No i fakty, tej wycieczki. No i kontry, tej ucieczki. W jednej sprawie, wszystko błahe. Jak w zabawie, stawiasz flachę. Na wystawie, zostawione. Będą dobrze wypełnione. Będą lepiej, w jednym szyku. Nie obronisz się w uniku. I ta sprawa, droga wola. I rozprawa, ta powolna. Objawienie, w słodzie tuczy. I niechcenie, mi tu mruży. I ten Sasza, co rozkazał. Wiarygodność, mi przekazał. I te mity, zdarte kostki. Sodomity, to drobnostki. Ale się sprawdza, i wtóruje. Ale potwierdza, nie próżnuje. Sznurek to twierdza, nie donosi. Komin wyrzuca, nie przenosi. Ten fakt w zanadru, odtajniony. Pomimo prób, tak naznaczony. Pomimo tłoczni, ciągle się dzieje. A Sasza się pyta, gdzie przyjaciele. No i jest tren, kolejna sukienka. Bierze za bezcen, jak młoda panienka. W natarczywości, tak dalej stęka. Co się tu stanie, może udręka. Ale kolejny dzień, wytwórni poznania. Masz ten materiał, do oglądania. Masz to spostrzeżenie, które nie tuczy. Wymiennosc słów, wiele nauczy. Trzymać się zgrabnie, wąsko w rozkroku. Całkiem powabnie, o tej porze roku. Całkiem starannie, i masz to opróżnienie. Po co Ci było, to złodowacenie. Sigmund mówi, że kolejna sala, będzie czułekach pewnego robala. Tylko na co, i jak tam dotrzeć. Tylko po co, i jak się nie otrzeć. No i sumienie, kolejne spowiedzi. To powiedzenie, kto gdzie siedzi. W jednym zawadzenie, i wykute Prządki. Całe potwierdzenie, przy bramie porządki. I się unosi, dalej coś chmurzy. Węzeł podnosi, wodę znów burzy. Ale przekraczają, kolejne ogrodzenie. Będzie pozytywne, dalsze twierdzenie. I jest, ta sala w czułekach robala. I się rozdwa, odwrót i fala. Co się tutaj znowu produkuje. Pyta Sasza, i pytania nie żałuje. Na to Sigmund spokojnym głosem. Mówi coś, bełkocze pod nosem. Chyba za długo wczoraj posiedział, a dzisiaj tylko mruk i bieda. Ale domyślił się Sasza po wynikach. Ale patrzy i widzi w fabrykach. Co jest, i czego tutaj brakuje. Ktoś uporczywie wyniki drukuje. Ktoś inny sprawdza ich zależności. Chodzi tutaj o brak wyrozumiałości. I faktycznie, to tutaj tworzą. I logicznie, wyrozumiałość rozłożą. Tragikomicznie, jak dalej się stało. Brak wyrozumiałości, na stałe zostało. Taka fabryka, co tu dalej mówić. Nikt nie zatyka, można ją polubić. Tak przynajmniej Saszy się wydaje. Choć zmienia zdanie, gdy rachunek za wizytę dostaje. Brak wyrozumiałości, tutaj wciąż rządzi. Sigmund dalej wokół toalety błądzi. A Sasza szurze tu po posadzce. Skrada się, jakby był na jakiejś schadzce. Poznał w tem piękną dziewczynę. Która miała uśmiechniętą minę. Sigmund coś macha, że na nie. A ona dalej uśmiecha się. Tak Saszą naszym zakręciła. Tak do parteru go sprowadziła. Że za obietnice niespełnione. Wydał kolejne zarobione. Naciągnęła go na wydatki. Niby na szminki, niby na gratki. Bo przecież spotkają się jeszcze nie raz. Ale krótki takiej zmory czas. Brak wyrozumiałości, z głupotą się łączy. Pełny, w fizyczności, z faktem dokończy. Pełny, ze znajomością, chwili tej podrygów. Nie ma tak, żeby człowiekowi było mało przygód. Przynajmniej większości, Sasza się zalicza. W tej obojętności, byle gdzie zakotwicza. Sigmund otrzeźwia, i mówi, zamiary. Teraz wiesz, i znasz kolejne koszmary. No i próbka, darmowa

przekazu. Brak wyrozumiałości nie czeka na pokłady zakazu. W tej tu przejrzystości, doprowadza do zgiełku. Nie ma tu litości, nie znajdziesz jej w nosidełku. I tak tu zależy, kolejny wciąż bieży. I tak się zanosi, powłoki odzieży. Sasza liczy grosik, i wydaje na cole. Tutaj zakazaną, mają tylko jabole. I tak dalej przepaść, kolejne liczenie. Jak tu nie wyprzedzać, kiedy otoczenie. Jak tu przestać zwiedzać, czy wrócić do domu. Sigmund przekonuje, nie jest źle nikomu. Kto chce poznać prawdę, i ją zastosować. A nie tylko oceniać, i głowę w piasek chować. A nie tylko tu zmieniać, i wprowadzać porządki. Lepiej jest odmieniać, swój pogląd na Prządki. I tak się wydaje, co raz tu dostaje. I dalsze przemierzenie, Sasza w Wytwórni zostaje. Takie pocieszenie, nie kończy przedwcześnie. Jak to wywietrzenie, i smakują wciąż trześnie. No i na jagody, wieczorną wciąż porą. Czółka tego owada, inaczej żyć wolą. Zostaje powaga, nie niezrównana inkszość. Większość nie domaga, zostaje przejrzystość. I się dalej skrada, to przytoczenie. A nie rozważa, dalsze spoufalenie. A co nie wypada, i chłodne nadzieje. Na koniec się rozpada, Sasza pyta, co się dzieje.

Wiersz psa przybłądy

Wytwórz, słów i fantazji

Stwórz przekazów i okazji

Brak zrozumienia, stwora nie zmienia

Brak upojenia, stwora docenia

Ogrodzenie 17

I tak się zaczyna, dalsza zawziętość. Jak koniczyna, dalsza konieczność. Jak oberżyna, o co wnioskuje. Masz, to meskalina, dziwnie smakuje. Ale wiadomość, ta ujawniona. I to przeźrocze, dobrze zrobiona. Cicho chichocze, zawziętość wściekła. Zostało krocze, i sprawa konieczna. Sasza się bawi, orbita wiruje. Historia sprawi, niespodzianki szykuje. I lot żurawi, który odcinek. Będzie szyk, spięcie, ryk pelerynek. I to zajęcie, po co i komu. Dalsze pierdnięcie, wynik zakonu. Głosu odjęcie, i winność sprawna. Masz to wycięcie, chwila niepoprawna. No i się znosi, co Sigmund przynosi. No i się stara, o czas Saszę prosi. W jego wymiarach, przymierzanie stroju. Szycie na miarę, w drugim pokoju. Bo dziś wyjątkowe będą odwiedziny. Bo dziś coś więcej, niż tylko kpiny. I ta zażyłość, pomiędzy panami. I sprawiedliwość, to jak z tapetami. Piękne dopóki nie zaczną odchodzić. Smętne, jak wyniki, które zaczynają się rodzić. Wierne, w wytrwale kreślonym planie. Wredne, jak kiepskie wychowanie. I idą wspólnie, dziś podróż daleka. Bo aż na Marsa, kolejna sala czeka. Na tej planecie, życie powstało. I kolejne grzechy tam wychowało. No więc tak spójnie, i teleranek. Marsjański świt, taki kochanek. Kolejny zgrzyt, i pranie osób. Było, był, znikł, znalazł na to sposób. I te wygody, przy przekraczaniu. Kolejne schody, w moim działaniu. Były rozchody, i efekt czapli. Tanie wywody, weź głębiej natnij. Ogrodzenie sprawnie to pokonane. Siedemnaste, jak moje zadanie. Siedemnaste, jak wyrwót prasowy. Niemożliwe, pakują sobie do głowy. I na Saszę sptywa, przez Sigmunda podane. I trochę go podrywa, będzie naskładane. Sasza patrzy, cała sala ze

złota, o co w tym chodzi, złota ochota. Jak się wyswobodzi, pyta, czy zostajemy. A może się zagłodzi, wynik, doniesiemy. Coś się tutaj chłodzi, jaka ewentualność. Podobno, to nie szkodzi, taka to banalność. I się sprawdza, dalsze przekwity. I kokarda, wymyślone zgrzyty. W tych morałach wsparcie, i inna abnegacja. Wyszło już na starcie, że będzie kolacja. Sigmund mówi, że głód wrażeń się tutaj produkuje. Punkty smażeń, co jak smakuje. Sasza przygląda się, i wszystko sprawdza. Głód wrażeń, pachnie jak piękna karma. No i te tłocznie, tak tutaj odkryte. I ci kelnerzy, kategorie zbite. Ruch mają na kuchni, jak to wspaniale pracuje. I wszystko ze złota, do Saszy dolatuje. Tu mógłbym zostać, mówi powoli. Ale czy los mu na to pozwoli. Ale o włos, i dalsza komedia. Zobaczył testowanych, mina trochę zrzędła. Bo wyglądali okropnie, od nadmiaru wrażeń. Bo wyło psotnie, i punkty oparzeń. I to tak zawrotnie, jak to się skończy. Będzie list otwarty, czy wymiary opończy. I się przypatruje, i wnioski kreuje. I się zastanawia, napiwek zostawia. Ale komu i po co, sam nie ma pojęcia. Może wszystko dlatego, żeby nie było spięcia. I nie ma, wszystko wrze wokół. I ściema, wszystko prawidłowo. Głód wrażeń, cudownie opakowany. I został jako próbka Saszy podany. Ten jednak chwilę się zastanowił. I powiedzieć NIE, postanowił. Po raz pierwszy nie skosztował złego. Pomyślał może, że się mu odbije od tego. A tak naprawdę, boi się uzależnienia. Jak tą kokardę, i prawidłowość lenia. Jak letnią wzgardę, i wyszukanie złości. Masz tu odpowiedni szyk, i wielkie możliwości. Spodoba Ci się, ktoś z boku nakłania. A Sasza ruchem ręki spławia tego drania. Sigmund mówi, że to jeszcze nie koniec. Na końcu specjalność zakładu, gotowany zaskroniec. Ale Sasza nie je, nie jest to kawior. Pozdrawiam serdecznie, pewną Panią Gawior. Produkt lokowany, zaskrońce, szampany. I te pozdrowienia, będę wychłostany. A ten Sasza wie, i wiele próbuje. Ale nie dziś, od tego złota świruje. Ale nie znak, i tak już zostanie. Jutro czeka go kolejne kosmiczne odkrywanie. Ale póki co, jeszcze o tym nie wie. Ale samo zło, a on szuka ciągle siebie. Jak to się sprawdza, i gdzie doprowadza. Jak się odkrywa i komu nie zawadza. Gdzie Mars ma stolicę, ostatnie pytanie. A Sigmund się śmieje, znasz odpowiedź na nie. W Waszyngtonie, zarządzają zdalnie. Międzyorbitalnie. No i coś skwierczy, to kolejna historia. Pożegnanie z salą, lub tylko teoria. Pogrzebanie z wiarą, o co w tym wciąż chodzi. Wiara ważną sprawą, trudno się nie zgodzić. Jak ta płaska ziemia, i potwór spaghetti. Jak teorie spiskowe, i chwile podniety. A nie wiecie jednego, co w Wytwórni się dzieje. Bo w to nie wierzycie, tacy z Was przyjaciele.

Wiersz psa przybłądy

I tak się sprawdza, czarna kokarda
I stymuluje, sprawa tak zdarna

Kontynuuje, głód wrażeń poznany
I nie próżnuje, wyjdiesz zakochany

Ogrodzenie 18

I tak się składa, Sasza odpada. Nie ma ochoty zwiedzać dalej, coś niedomaga. I tak to się ściiera, butelki wyciera. Będzie posprzątane, albo oglądane. Sigmund go jednak przekonuje. Wartości

i przykład, za nim wtóruje. Odmienny ten kwiat, i przytakuje. Sasza się w nowym świecie odnajduje. Tym kosmicznym, oddzielnym mniemaniu. Tragikomicznym, syntetycznym badaniu. Jak tu ta spowiedź, i gdzie jest odpowiedź. Jak podrygiwania, i te dalsze skalania. Komu to na dobre, a komu odwrotnie wyjdzie. Jakie chwile chłodne, a jakie w zmianie przyjdzie. Gdzie wymrą wszystkie stopnie, i zostanie asfalt. Może zbyt pochopnie, ale to na dobry start. I tym razem, się na asteroidę udają. Sasza i Sigmund, drogę dobrze znają. Kolejna sala na asteroidzie się bowiem znajduje. Kolejna chwila, ani chwili nie próżnuje. I tak tu dalej, kolejne ogrodzenie. Ale co to są za dziwne kamienie. Ale co to jest, za dziwne niechcenie. Może w zażyłości, jest prawdziwe spełnienie. I nie udaje, ciągle się znajduje. I nie jest żalem, z żalem potakuje. Chwila dla męki, wiadomej udręki. Chwila bezsilności, z wytwórczej siności. I jest, sala o której mowa. Sala, cała bursztynowa. Komnata, co kiedyś zaginęła. Teraz się produkcją uporu zajęła. I jest tu laboratorium, jak poprzednie, znane. I jest kuratorium, nowe ścieżki poznane. W danym wywodzie, i okolicznym zwodzie. W danej pretensji, i wiadomej intencji. Są też testy na ludziach robione. Czyli standard, wszystko już sprawdzone. Tylko tutaj upór strzykawkami podają. Tyłki tak ich bolą, że nawet nie siadają. Sasza, jakoś mało zachwycony. Ale jest żurek, i chleb odłożony. Ale z tych chmurek, których brakuje. Byłoby używanie, tutaj nie skutkuje. Sigmund przedstawia głównego inżyniera. Który zasady i funkcje rozdziela. Który te uncje, wybiera z grymasem. Byłby z niego pożytek na ziemi z czasem. Ale mówi, że tu się lepiej zarabia. Na uporze, wielka po nim zgaga. Na przetworze, i dopracowywaniu. Masz swoje zdanie, a ja wytwór w oczekaniu. No i się staje, foto pamiątkowa. I przydaje, wizja całkiem nowa. Bo Sasza wpadł na pomysł świetny, żeby zabrudzić ten produkt konkretny. Ale kamery wszędzie i fonia. Wspaniałość wypadków i dychotomia. Jak tych kontaktów, dalsze zbieżności. W uporze faktów, zdalnej jedności. I Sasza Sigmunda przekonuje. Może spróbować, to ich zrukuje. Może wnioskować, o inne zdjęcie. Ale by było później pierdzielnięcie. Gdyby podali ludziom coś dobrego. Ciekawe jakby było ludziom od tego. Może by złości było mniej na ziemi. Może garść litości ludzi odmieni. Ale ostatecznie, Saszy wycofanie. Ale to konieczne, faktów oglądanie. I jest, to dalsze gderanie. I test, jakie kto ma zdanie. Jak podest, co się od czuła odrywa. Jak protest, który się z lędźwi wydobywa. Wywrotek, i spraw dalsza zawiłość. Kłopotem, szczęśliwa tutaj wnikliwość. Co będzie jutro Sasza dopytuje. Urlop się kończy, powoli, wnioskuje. Sigmund jednak nie zdradza tajemnicy. Mówi tylko, kolejny dział Wytwórni, jak wszechnicy. Saszy to jednak nie dogadza, zwięźle. Wolałby wiedzieć, jak drzwi, przez nie. Co przechodzić, można, albo trzeba. Wyswobodzić, od odłożonego chleba. I przysporzyć, grację, oraz fakty. Byłoby, gdyby nie kontakty. I tak się zbiera, co raz, coś uwiera. I tak donosi, Sasza dale prosi. Prośby w kosmiczną próżnię jednak uciekają. Chwila, dłużna, na materializmie się nie znają. I tak stworzenie, dalsze przyłożenie. Koniec dnia, albo pierwsze spełnienie. Niedopłenione, ale rozpalone. Niewytworzone, ale obudzone. Co dalej, jak Sasza się zmienia. Co wyżej, i chwila grzebienia. Drugi dzień z rzędu, Sasza odmówił próbki. Z wiadomego urzędu, masz wymiary, oraz skutki. I jak bardzo, szkodliwa Wytwórnia. I jak gracją, wyjątkowość w próżniach. Tak oznaczają, i zadanie spełnione. Jak to jest z pracą, gdy na później odłożone.

Wiersz psa przybłądy

I się spełnia, ta tradycja
I wszechnica, była, nic, ja

Pobożnica, bez pobocza
Upór to przypadłość srocza

Ogrodzenie 19

I tak się składa, ciągle roku. Garnki odkłada, nie kokietuje. I ta wypada, rozdarte serce. Może zagłada, w małej butelce. I myśli tysiąc, Sasza zaczyna. Nie wie gdzie powrót, i gdzie jest przyczyna. Nie wie gdzie swoje, a gdzie czyjeś słowa. Jaka będzie z tego wymowa. I abnegacja, która rokuje. I cicha frustracja, Saszę oszukuje. W dalszych narracjach, i cichej sprawie. Jak na wakacjach, w tej oto wyprawie. Tak się to składa, dalej poddaje. Co nie wypada, i co czym się staje. Jaka zagłada, i które zwyczaje. Kto się tu z czym, dzisiaj rozstaje. I te mnożenia, co dalej wyprą. I przyłożenia, było być sitwą. Ciągle konieczna, ale do skutku. Broń obosieczna, wymiar gatunku. I tak się staje, dalej namnaża. I te rozstaje, coś się przydarza. Kolejny dzień, sen marynarza. Wymowny sen, cud aptekarza. I się odbija. O ile warto. I tak przybija, wiadomą kartą. Jak koniec kija, będzie stworzone. Ktoś wykradł kiedyś, niejedną żonę. A teraz spokój i przemyślenia. Dalszy protokół, spore ciśnienia. A teraz zgroza, tak w lustro patrzeć. Na stałych płozach, można oczy zatrzeć. I ten minerał, co dalej się zbiera. I ten generał, co wodę wyciera. Jak się nabierać, na wartkość akcji. Jak się pozbierać, z takich wakacji. Kolejny dzień, i zaczynanie. Jest to z Sigmundem kolejne spotkanie. I masz to zwięzłe, tu przyrzekanie. Nie będzie pobłażania, na nie, czekanie. Sigmund widocznie uśmiechnięty. Może to w ramach jakiejś zachęty. Może to w bramach, dalej zostanie. Wiadomość rozesłana, na poczekanie. I mają, kolejne ogrodzenie. Przed sobą, przez nie przechodzenie. Ozdobą, i wreszcie się udało. Niezgodą, to nie za jej sprawą się stawało. No i jest, kolejna sala. Schowana w lesie, od ludzi z dala. Schowana w kretesie, i wyrzutach sumienia. Jak w interesie, ale co to zmienia. Sasza pyta, co tu się dzieje. Sigmund mówi, że tu podrabiają nadzieję. I podróbki sprzedają z zyskiem. Sasza na to startuje z pyskiem. Przecież nadzieja to wielka świętość. Przecież w nadziei liczy się wziętość. Jak co komu, człowieka buduje. Gdzie, w jakim domu, nie oszukuje. A ta tutaj, poprzestawiana. Całkiem zepsuta, z czystości wyprana. Jak but wyzuta, i na co to przyjdzie. Jak zepsuta nuta, ośrodkiem wyjdzie. I tak Sasza, poznaje szczegóły. Stoi przy taśmie, wysłuchuje bzdury. Dzisiaj nie zaśnie, chociaż spróbuje. Ktoś go w kark trzaśnie, no i rokuje. Tak to się zdarza, i dalej potwierdza. Tak się przydarza, życie jak twierdza. W zbyt wielu twarzach, i ich zaszczości. Mania powtarzania, w tej przenikliwości. Nagle jest powódź, lub coś podobnego. Woda podeszła, Sasza mówi, co z tego. Trzeba ratować, wszyscy biegają. Sasza się śmieje, nie odstrasza. Teraz to zaczyna mieć sens konkretny, mówi Sasza, wcale nie szpetny. Nie przestrasza, ale podróbki śmierzdzą. Nie wygłasza, ale nieliczni wiedzą. Jak to ukryć, i się nie zmarnować. Jak przemycić, i umieć się zachować. W jednej wszechnicy, i wielu podejściach. Jak na Palenicy, w widocznych wciąż wejściach. No i się streszcza, o próbkę nie pyta. I nie dostaje, bierze za to jakaś kobita. Też zwiedzać przyszła, robi ładne miny. Uśmiecha się do Saszy, nie tak bez przyczyny. Ten jednak uwagi nie zwraca, nie odpowiada, czystość popłaca. Ani nie spowiada, kobieta niechętna. Zachłysłnęła się podróbką, sprawa całkiem zgięta. I te drogowskazy, wszystkie te zakazy. I te monolity, oraz wielkie szczyty. Gdzie tu do zachęty, i uciec którądy. Jakie przeznaczenie, i człowieka błędy. Tworzy się namnaża, Sigmund się powtarza. Coś o podrobieniu i sztucznym istnieniu. Że ludzie bez tego cierpią, nadzieją nie żyją. Że ludzie się zbyt wiercą, makijażu nie zmyją. I tak te morały, gdzie świadomość sporna. Jak

strawione banały, i chwila odporna. Można tu się kłócić, wody całkiem sporo. Lepiej jest zawrócić, przyrzeć się kolektorom. I wracają, Sasza ten i Sigmund. Droga przez las, bez widocznych wygód. Może przyszedł czas, zastanawia się Sasza. Czas na rozstanie, i swą mowę wygłasza. Że Wytwórnia człowieka nie szanuje. Że źle się w tej Wytwórni czuje. Na to Sigmund, że na początku mu się podobało. A nawet śmiać mu się z tego chciało. Skąd ta zmiana, Sasza milczy. Nieoczekiwana, wina zgłiszczy. Niepodbierana, i jakie inkszości. Będzie wydana, tak z przyzwoitości. I do brzegu, a woda ciągle płynie. I z sumienia, wyrok nigdy nie zginie. I z pragnienia, jak je zaspokoić. Może nadzieją, podróbki będą się troić.

Wiersz psa przybłądy

I się skręca, i żałuje
Tak podkręca, oponuje

Tak dokręca, całe zwoje
Podróbka, oby nie my dwoje

Ogrodzenie 20

I tak się zbiera, dalej dociera. I tak oponuje, smutek rozciera. W jednej zasadzie i tej kontrybucji. Wiadomość jak w stadzie, w czasie ablucji. I się naciera, komitet premiera. I tak wnioskuje, obozy szykuje. W tych rytmach niezgody, i zafrasowania. Są ku temu powody, i zmiany tego zdania. No i jak szybko, Sasza tu dorasta. Wiadomo jak smak, wyborczego ciasta. Sprawdzono, jak znak. I jego skoroszyty. Wiadomość na wznak, i opiekun kablem bity. W żartach, bo i pożartować tu można. W fartach, bo szczęście sprawa fartowna. W zgłowach, bo od liczenia boli głowa. W słowach, bo prawdy to tylko połowa. I tak do celu, dalej się kieruje. I jeden z wielu, szyku dopatruje. Jak wielki przerób, i wynik w zaszłości. Oby więcej, nie rób, styk pożądlivosti. I tak dalej, radosna nowina. Kolejny dzień, Sigmund jest przyczyna. Sasza polubił Sigmunda, przez te wszystkie lata. Dni się ciągną, już nie ten sam tata. Jak było, i co się tu zmieniło. Jak czasowo to się wszystko zapętlilo. Jak miarowo, i tyle tego dostatku. Jak ruch głową, i mądrości trochę w spadku. Sasza opowiada, o bezsennej nocy. Sigmund się śmieje, i mówi, że potrzebuje pomocy. Tylko kto woła, i z którego kąta. Tylko nie zgoła, i wariacje trójkąta. Jak się sporzyć wartko i z sensem dodanym. Jak przysporzyć sens, chwilom ulokowanym. W tym zawiłym zgięciu, i chirurgicznym cięciu. W tym wielkim jak wieża Babel przejściu. No ale co dalej, jest i ogrodzenie. Dwudzieste, kolejne Saszy chcenie. I przeskok, jakby powiedzieć, dostojny. Efekt jednak zaskoczył, i przysporzył, zbrojny. No i odnowienie, to dalsze istnienie. A Sigmund oprowadza, kolejne mocne tchnienie. A Sigmund rozsada, i wyniki batalii. Mówi, że w tym dziale, zawsze brakuje do talii. Bo tutaj produkują wysnute zasady. Co nie mają sensu, jak odwrócone wodospady. Co nie mają szyku, a nosi się w koszyku. I widoczne znaki, łyk z termosiku. Tylko dla zasady, a sala jest w uchu. Głuchego zająca, lepiej to niż w brzuchu. Kto kogo tu trąca, i jakie znajomości. Sigmund raport sporządza, dla prawidłowości. No i się styka, Sasza gdzieś znów znika. No i się dodaje, Sasza na taśmie staje. I krzyczy coś,

precz z wysnutymi zasadami. Pracownicy się śmieją, jeden z wymiarami. Ale co to da, mówi Sigmund spokojnie. Daj spokój, brat, lepiej tańczyć dostojnie. Wiem, że jesteś chwat, ale poznaj wroga. To jak konia zad, nie przewidzisz w wywodach. Ale można powoli, się przyzwyczajać. Albo do lepszego od tego, nastrojać. Albo sztydzić z tego, wiele możliwości. Nie uszczuplaj sobie, wyborów ilości. Sasza mówi, że śmierdzi, kosze nie opróżniane. Podobno strajk był, Sigmund dodaje, przewidziane. Ale tak to już jest, w uchu głuchego. Czasami ktoś nie dostyży wołania od tego. No i się zanosi, owady, i prosi. No i się donosi. Darmowe, odnosi. Sasza podziękował, nawet nie spróbował. Za to dużo dnia tego, na nowo główkował. I jak się to składa, do czego prowadzi. I co, że gromada, może ktoś przesadzi. Jaka dalsza rada, i chwile przemiłe. Kategoria spada, i wyniki wątpliwe. Szkoda mi tych ludzi, Sasza cedzi przez zęby. Nikt z nich nie marudzi, pewnie mają względy. Ta cała produkcja, i Ci testowani. Testy na ludziach, i jakie dalsze plany. Przecież ten człowiek czuje, ma swoje uczucia. Przecież to go rujnuje, pozostają strucia. I tak to się stosuje, na masową skalę. Węzeł zawiązuje, zamkniętą już sprawę. I tak wysnute zasady, na palety układane. Folią strezczową, dokładnie związane. Piękną odmową, i gracją w przepychu. Baterią wciąż nową, i wiadomą w dopychu. I tak się streszcza, spać dalej nie daje. I tak to obwieszcza, na głowie wręcz staje. Sigmund pyta, czy mu wysnute zasady objaśnić. Sasza się buntuje, ale słowo to zaszczyt. Sigmund mówi, że to jest podpuszczenie. Takie, niby wydedukowane spostrzeżenie. Jak należy żyć, według siebie samego. A tak naprawdę, diabeł ma używanie z tego. Bo sam podsuwa wysnute zasady. Tu wymyślone, dla człowieka zwady. Tu opatentowane, i stąd wysyłane. Wszystko przewidziane, będzie dokręcane. W pełnym dopracowaniu, szczegół po szczególe. W pełnym naznaczaniu, nie rozpoznasz bzdurę. Tak to jest, snucie, skonstruowane. Inaczej niż ogół, będzie przebadane. Bo prosto jest, kierować się faktem. Boskim prawem, z dobrym kontaktem. Ale ludzie odrzucają to co oczywiste. Snują, i myślą, że mają przejrzyste. Nie chce mi się tego słuchać, kończy Sasza. Nie można nikogo przecież zmuszać, lepsza nasza. Taka która, już znami zostanie. I zawsze była, wystarczy to zdanie. Tak się zrodziła, tradycji systemy. Pięknie obrodziła, a nie snucia klemy. I ładnie dawkowała, po co kombinować. Wracajmy, zjemy coś, trzeba przed snuciem się schować.

Wiersz psa przybłądy

I się sprawdza, pogrzebanie

I przeziara, poskładanie

Wysnute zasady, nie ma rady

Bez nich, nie będzie zagłady

Ogrodzenie 21

I tak się zaczyna, odstani dzień i przyczyna. I tak wymachuje, odmienna tu, zdatna wina. I się doprosić o wynik nie może. Jak długo prosić, i o której porze. Sasza od rana nabuzowany. Są melodie krwi, wylane szampany. Są te wszystkie dni, w głowie naskładane. Elementy krwi, będą odbarwiane. Jak się dalej zdarzy, i która melodia. Czy ją poznasz po twarzy, historia

zwodna. Czy Ci dobrze usmaży, i wiadomość jaka. Historia pewnych handlarzy, ale będzie draka. Bo faktycznie, rano Sasza pohandlował. Choć głównie, i w zasadzie, to tylko kupował. Ale co, to dalej się okaże. Może zło, swoje rogi pokaże. Jak się zdaje, i co wydaje. Jak odstaje, i które rozstaje. I się smęci, wiatr coś marudzi. Potrzebne chęci, może się nie obudzi. I rozmowa z Sigmundem przy kawie. Ostatni dzień, niespodziankę sprawię. Mówi Sasza uradowany, Sigmund chyba przejrzał już jego plany. Ale zmienia temat na uniwersalny. Może po trochu będzie też banalny. I pyta o dalsze plany. Po powrocie, na ten świat zastany. A Sasza na to, że zobaczy. Że już wie czym jest właściwy zaczyn. Że teraz, to będzie nowe życie. Ale zacznie się dzisiaj, od tak, należycie. No to idą, kawa skończona. Ciasteczko, dwa, porcja wyjedzona. I zmierzają w kierunku ostatniej przygody. Sala to ciemna, jak pawiana odchody. Bo w odchodach pawiana właśnie się znajduje. Sala ta, ciągle owocuje. Ale zanim sala, jest i ogrodzenie. Dzisiaj jest inaczej, nie ma że przekroczenie. Dziś Sasza rozwala, przebija się do środka. Niszczy ogrodzenie, prawie jak wywrotka. I to jego spojrzenie, do czego tu dojdzie. Kolejne ostrzeżenie, jak to jest na wojnie. I chyba taką wojnę Sasza wypowiedział. Choć głośno, niczego nie powiedział. Wpada do sali, co się zawali. Albo i nie, zapytaj z odchodów robali. Sigmund mówi, że to poczęstunek. Powitalny, jak nowy kierunek. Sala z dezercją, dezercją częstuje. Sasza bierze na język i od razu pluje. Wywraca tacę, potrąca człowieka. Wbiega na salę, ochrona już czeka. Ale on sobie nic z tego nie robi. Ściąga plecak, i co z niego wychodzi. Wyjmuje, kanister z benzyną. Oblewa, ma gdzieś że wszyscy zginą. Przelewa, cnót czy to dodaje. Się miewa, raz a dobrze dostaje. Ale się podnosi, i z kimś się znowu szarpie. Ale chwile znosi, nie skończy się karpiem. I tak do płomienia, jego poszukuje. Zgłoszona ewakuacja, każdy się ratuje. I faktycznie, tylko ludzie, których testują zostali. I logicznie, na nich się nie poznali. Nikt ich nie szanuje, nikt po nich nie zapłaczę. Nie rozpoznasz, czy warto, jeśli nie zrozumiesz znaczeń. A Sasza, z nienawiścią w oczach. Do całej wytwórni, we wszystkich przeźroczach. Do całej produkcji, tak tu sprawowanej. Dzieło wytworzenia, w konkluzji wydanej. Sigmund uspokaja, mówi, szkoda grzechu. Lepiej zrozumieć znaczenie uśmiechu. Lepiej postuchać o produkcji dezercji. Jak tu w zanadru, element pretensji. Sigmund mówi, Sasza nie słucha. Krzyczy tylko, będzie zawierucha. Wrzeszczy, że zobaczą, czym jest kara. Ja jestem Sasza, a nie jakiś niezdara. Sigmund nie przestaje, i przekonuje. Dezercja od prawdy, to zło, nie szanuje. Dezercja od zgody, to nie tylko wygody. Ale też i bunty, elementy, funty. Ale Sasza nie dał się powstrzymać. Gorąca krew, woli kończyć niż zaczynać. I tak kończy, odpaloną zapałką. Co nie łączy, efekty muzą, grajkom. I cała sala stoi w płomieniach. Chwila, moment, wiara, wytchnienia. I cała sala płonie po dach. Całe to gówno, Sasza krzyczy, szach. Ale nie mat, sal przecież dużo. Ale pewnie przez chwilę się tylko chmurzą. Odbudują, albo coś innego. Ale Sasza zadowolony, dopiął przecież swego. Można zakończyć, wakacje prawdziwe. Papieroskiem, na zgliszczach, lękliwe. Można przeświecić, i został ideał. Prosta komitywa, jak lekcje pobierał. A teraz zagadka, niezadowolenie. Sigmunda, i przenikliwe spojrzenie. Muszę Ci coś powiedzieć kolego drogi. Słuchaj mnie uważnie, jak świata rozłogi. Bo to nie zwyczajstwo, zaraz wytłumaczę. A tymczasem, po testujących zapłaczę. Słuchaj mnie uważnie, wywodu, pozwolę. I ugaszę, tę Twoją, rozognioną niedolę. Taka kolej rzeczy, i dalsze te sprawy. Taka komitywa, nie dla Twej zabawy. Wytwórnia to element świata stworzonego. Jest niezbędna, piekło pilnuje tego. I nie można jej od tak pokonać. To zbieg zdarzeń, i efekt dokonań. To coś co wprowadza, ład w królestwie grzechu. Człowiek wystawiony na próbę, by zrozumiał znaczenie uśmiechu. Próba jest zawsze z grzechem połączona. Na stałe. Chwile i ramiona. Próba, wydaje

i się przydaje. Każdy w swoim teście na palcach staje. Uczy się, zmienia, lewituje. Czasem naprawia, a czasem psuje. Ważny jest efekt, i to znaczenie. Ziemskie, tak wyjątkowe istnienie.

Wiersz psa przybłądy

Chwile co patrzą
Niewiele mówią

Oczy te zatrą
I tak przemówią

Wyjątek pewien
Wyjątek jeden

Dezercja udana
Na sposobów siedem

Monolog Sigmunda (gdy emocje opadły)

Z grzechem nie walczy się ogniem, kolego. Nie przyjdzie Ci nic z tego dobrego. Nie zwyciężysz, na zasadach diabła. Pomimo oręży, Twa czystość upadła. Bo jedyna możliwość pokonania złego. To miłość i zrozumienie, mój drogi kolego. To delikatne przyciszenie, i robienie swojego. Nie ma, że stanie Ci się krzywda od tego. Nie da się inaczej ze złem postępować. Każdy myśli, że chciałby wojować. A to niszczy tylko, walczącego. Kolejny upadek, nie trzeba Ci tego. Lepszy jest ranek, gdy miłością współczujesz. Pięknie jest, jak pomimo trudności się radujesz. Potrafisz docenić, to co jest stworzone. Nie musisz uciekać się, i poniewierać żonę. Za to, że jakieś zło w niej znowu buzuje. Za to, że sama siebie w tym tłoku nie odnajduje. Wszystko jest w miłości i zrozumieniu zaklęte. I właśnie takie życie, jest naprawdę piękne. Zrozumiesz to zaraz, każde jedno słowo. Poczujesz je duszą, będzie wyjątkowo. Bo zgoda na zło, to największe wyzwanie. Umiejętność miłości, prawdziwe przebaczenie. Nie można, powiedzieć, wszystko już widziałem. Nie próbuj się wykręcać, tego też spróbowałem. I nie zadziałało, czyli nie umiałem. Może mało się chciało, może próżnowałem. O to właśnie chodzi, to stan duszy ciągły. Słuchanie co mówi, temat to rozciągły. Trzymanie się steru, ale nie za wszelką cenę. Nie możesz wszystkiego kontrolować. To jakbyś zabił draczenę. Tylko dlatego, że zaczyna schnąć. Tylko dlatego, że nie możesz do gości ją wziąć. Może potrzebuje innego miejsca. Albo mniej wody, i się rozkręca. Takie powody, i zależności. Jak niewygody, i zapach kości. Takie mniemanie, i dociekanie. Prawdziwe życie to wielkie zadanie. I tak zostanie, wartości Twoje. Boskie naleciałości, jak te powoje. Boskie przypadłości, o miłość otarte. W swojej czystości, jak zwykle, niezatarte. I tak się zdaje, nie jedna nowina. I tak wydaje, a może to kpina. Ale nie, nie ogniem walczymy. Ale gdzie, inaczej zrobimy. W pełnym zrozumieniu, świata zastanego. W jednym przytuleniu, wszystkiego, tego złego. Jedyna odpowiedź, i boska spowiedź. Jedyna narracja, myślisz inaczej, powiedz. Ale tu nie o myślenie chodzi. Tylko o czucie, co Cię

wyswobodzi. O dotykaniu rzeczywistości duszą. O zrozumienie, że tylko źli muszą. Coś udowodnić, i narobić rabanu. Dobro odcina się od takiego stanu. Dobro nie musi być z dala widoczne. Ważne że jest, a nie chodniki tłoczne. Ważne że żyje, i ma się dobrze. Niech dobro tyje, oby wygodnie. Niech dobro żyje, i udowadnia. A nie rozbije się, i tendencja stadna. To ta boska iskra, w każdym człowieku. Pewna misja, a nie mieszanie pasztetu. Nie kolizja, co się znów przytrafia. Nie mielizna, co zgłiszcza dogasza. Ani płyczna, co pływać nie pozwala. Smutny jest ten, który świat rozwała. A Ty masz przyjacielu inne zadanie. Kochać, rozumieć, czuć duszą to zdanie. I tak do końca, wędrówka skończona. I tak bez końca, znowu odnowiona. Przemiana, zawsze dobrze rokuje. Oby tylko, dalej się utrzymuje. I tego Ci życzę, w Twojej dalszej podróży. Powrót do świata, bo się przecież dłuży. Już chciałbyś uściskać, swoją rodzinę. Na prośbę przystać, a nie podlać kpinę. Proszę więc, i powtarzam skutecznie. Nie podpalaj, kiedy zamiary nieczne. Nie namnażaj problemów w istnieniu. Powinieneś się cieszyć, przy kolejnym obrodzeniu. Codziennie, wciąż nowym, i te piedestały. Historie i zmywy, powiesz, że banały. Ale do duszy przenika, co z tego wynika. Ale dusza dostaje, a nie umysłu panika. Emocje, one tu niepotrzebne. Wystrzegaj się skrajnych, myśli bezwiedne. Nie ma takich, myśli z czegoś wynikają. Tak jak emocje, mocy nie dodają. Łatwo stać się emocji zakładnikiem. Łatwo przesadzić z jednym składnikiem. Miłość wtedy już tak nie smakuje. Miłość wtedy gdzieś tam odlatuje. Dlatego, pracuj nad sobą, mój drogi bracie. Wiara Ci ozdobą, chcieliście to macie. Poruszenie duszy, przyszło zrozumienie. Nic go nie wysuszy, masz nowe istnienie.

Sasza wrócił z wakacji

Odmieniony

Nowy człowiek

Dla swej żony

Nowy człowiek

Dla swych dzieci

I ten w pracy

Z nami leci

Zrozumienie

I oddanie

Wyciszenie

I mniemanie

Że z Bogiem

Wszystko jest możliwe

Że jesteśmy silni

A nie słowa ckiwe

I tak już zostało

Efekt wymierzony

I tak się zdawało

W Boga zapatrzony

Bóg to przecież
Dom miłości
A nie efekt
Łatwopalności

Tak zostanie
I przekonanie
Znikło gdzieś
Wcześniejsze mniemanie

Wszystko osiada
Z czasem zostaje
Czasem się skrada
Starym zwyczajem

Ale jak Sasza
I Ty rozumiesz
Ale jak Sasza
Podpalać umiesz

Ale nie musisz
Jedna legenda
Prawdziwa
Jak jedwabnika przędza

Miłość buduje
Tak jak zaprawa
A więc nią buduj
To ważna sprawa

A dumny będziesz
Z tego co powstanie
Zrozumiesz życie
I radości gadanie

Przestanie mówić
W obcym języku
Radość co doda
Odrobiny szyku

Radość, nie kłoda
Dusze ukoi

Nie ważna przeszkoda
Dusza się nie boi



Spis obrazów:

Grafika ze strony tytułowej: Grafika Marcina z Fryszaka, Zrzucona skorupa 9.

Wiersz ze wstępu. Marcin z Fryszaka, S(twór).

Obraz końcowy: Marcin z Fryszaka, [i](#).



Marcin z Fryszaka

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Uzależniony od życia. Twierdzi, że powietrzem duszy się nie nakarmi. Autor pięciu 14-częściowych cykli. Piąty nosi tytuł „Życie ponad życie”. Książki Marcina można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie internetowej: wilusz.org

Piąty cykl to dziewięć opowiadań mistycznych, z których na szczególną uwagę zasługują: „Program ochrony wampirów”, „Krasnal który widział przyszłość”, i „Pustynia Zapomnienia”. W cyklu tym znalazło się też miejsce dla pięciu tomików wierszy. To druga część niezatapialnych „Zwierzoszzyków”. „(prawie

jak) haiku”, „Wolne pisanie” inspirowane obrazami, dłuższe wiersze „Zgodnie z planem”, oraz napisany wspólnie z Krzysztofem Eska tomik-rozmowa „Dwóch czy jeden”. Twórczość dla poszukiwaczy prawdy, oraz krytyków otaczającego nas świata. Każdy tutaj znajdzie brata.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Wytwórnę grzechu” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Wytwórni” na wszystkie możliwe sposoby. Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Wytwórnę” każdy może wydrukować i rozpowszechnić – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Wytwórni”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Wytwórnę grzechu”? To do dzieła!



Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Wytwórnia grzechu” była w całości dostępna za darmo w internecie.

Kopiuje ją z jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiający dostęp do „Wytwórni”.

Udostępniajcie ją bez pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

